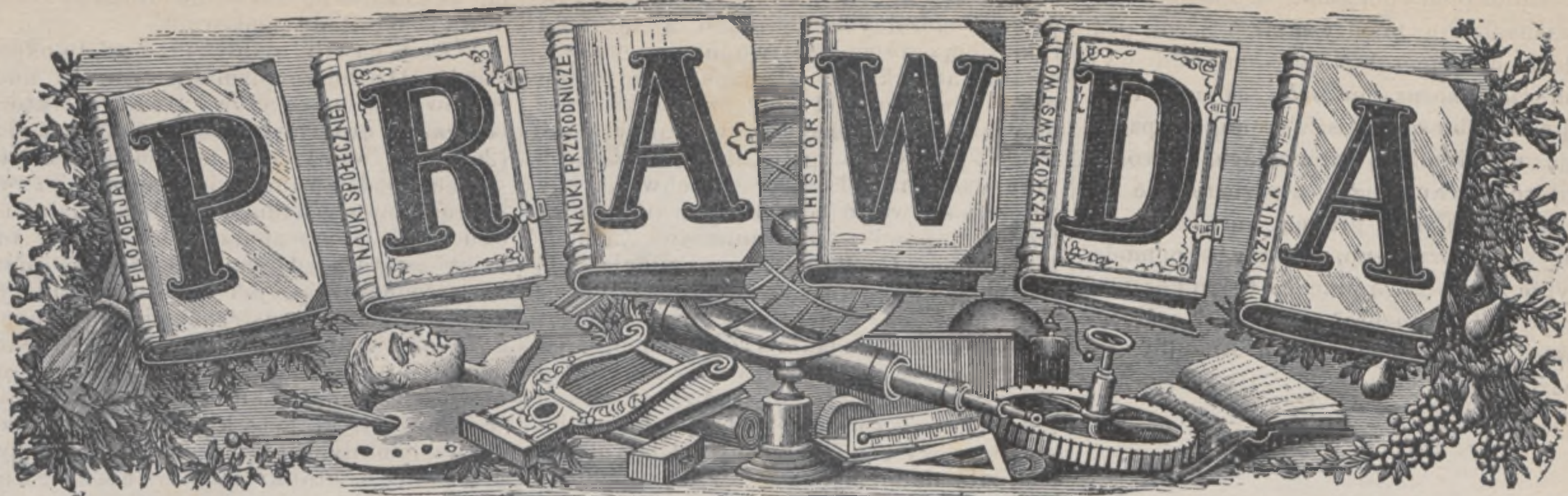
№ 41. Warszawa, dnia 10 Października (28 Września) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

NIE WIEDZIELI.

Bunt Rumelii wschodniej nastąpił tak szybko po zjeździe w Kromieryżu, że łączność między tymi dwoma wypadkami musiała narzucić się całej prasie europejskiej, zwłaszcza że ten domysł potwierdzały okoliczności poboczne. Weszło też między udowodnione pewniki przekonanie, że unia bułgarska była z góry ułożoną, że odegrała się jako komedya, której autorowie i reżyserowie pozostali za kulisami. Ażeby jednak usunąć wszelką wątpliwość kilku posłów sejmu węgierskiego zainterpelowało w tym przedmiocie prezesa gabinetu Tiszę. Jego odpowiedź sprawiła dziennikom istotną niespodziankę, gdyż zaprzeczyła ogólną wiarą cieszącej się hipotezie o pochodzeniu wypadków bułgarskich.

Według Tiszy, spotkanie w Kromieryżu było prostym aktem grzeczności Monarchy rosyjskiego, wywołanym odwiedzinami w Skierniewicach. Żadnych umów nie zawarto, wyrażono tylko chęć i nadzieję utrzymania pokoju. Co do półwyspu Bałkańskiego wszystkie mocarstwa zarówno pragną uszanować i utrzymać traktat berliński.

„O tem, że w Bułgaryi i Rumelii istnieją dążności ku połączeniu, wiedział tak dobrze minister spraw zagranicznych, jak i ja, jak każdy wreszcie, śledzący tamtejsze wypadki. W roku ubiegłym, gdy ruch ten zaczął się ujawniać, wszystkie mocarstwa wystąpiły w obronie stanu istniejącego. Lecz o tem, co wskutek spisku nastąpiło dnia 18 września, *nie wiedzieliśmy ani my, ani żadne państwo europejskie.* Przewodnicy małą tylko liczbę osób zaufanych wciągnęli w zmowę, a chwilowe powodzenie tem łatwiej mogli osiągnąć, że na prowincyi nikt im nie stawiał oporu. Ponieważ wszakże jest to wyraźnem zdeptaniem prawa i naruszeniem traktatów, natychmiast szczerze oznajmiliśmy, że tak sądzimy. Jednocześnie też nasze ministeryum spraw zagranicznych z równą otwartością oświadczyło się za prawem sułtana do działania według woli, że może on wszelkimi środkami stan istniejący przywrócić. Turcya miała zatem najzupełniej swobodne ręce do zapewnienia poszanowania temu swemu prawu, jak jej się podobało. Ministeryum też spraw zagranicznych nie ma żadnej wiadomości, by którekolwiek z mocarstw chciało wyjść z neutralności, gdyby pomiędzy Bułgaryą a Turcyą przyszło do starcia orężnego. Zresztą mocarstwa podpisane na traktacie, natychmiast po otrzymaniu wiadomości o wypadkach, jak najbardziej stanowczo zapobiegły, ażeby ruch w jakimbądź kierunku nie rozszerzał się dalej. Pod tym względem otrzymały one doniesienia uspakajające. Ze swej strony zgodziły się, by ich posłowie zebrali się w Konstantynopolu na *konferencyę przygotowawczą* co do najbardziej palących kwestyj, który to wniosek zostaje w związku ze zwróconym do mocarstw życzeniem Porty, w którem ona, zachowując swoją niezależność, zaprasza je do przyjacielskiej interwencyi."

Wiadomo, na co, według dyplomatów, natura dała człowiekowi mowę—nie do ujawnienia, ale do ukrywania myśli. Byłby też Tisza bardzo lichym politykiem, gdyby z owego daru skorzystał wbrew dyplomatycznemu przepisowi i otworzył na oścież przed światem swą pieczęciami tajemnicy zamkniętą głowę. Niewątpliwie utaił on wiele, złagodził jeszcze więcej, ale zdaje się, w jednym punkcie wyznał prawdę, że mocarstwa europejskie nie wiedziały o wszystkiem, że ruch bułgarski zaskoczył je znienacka. Przypuszczenie to nabiera cech wielkiego prawdopodobieństwa wobec tego chaosu zdań, jaki zapanował w dziennikach, szybko odczuwających zamiary swych rządów. Ani austryackie, ani niemieckie, ani angielskie nie posiadają stałej busoli, lecz błąkają się po manowcach czysto akademickiego rozumowania. Dostrzegamy to równie w prasie rosyjskiej. Straciła ona całkiem głowę i z dnia na dzień zmienia zdania, rady, wróżby. Trudno np. byłoby policzyć, ile już sprzeczności zasnuło kolumny *Now. Wremieni.* Białe przez jedną noc stawało się w tej gazecie czarnem. W konsekwencyi pewnej utrzymały się tylko *Mosk. Wiedomosti*, z czego wnosić można, że i tym razem p. Katkow miał najwierniejsze informacye. Odrazu uderzył on na ks. Aleksandra i w tym gniewie pozostał. Jeżeli unia bułgarsko-rumelijska była istotnie dla mocarstw niespodziewaną, to naturalnie najbardziej zawinił książę, który na krótko przed wybuchem odwiedził rosyjskiego ministra spraw zagranicznych i prawdopodobnie upewnił go o swej niewinności.

Bez przygotowania i namysłu trudno rozwiązać równanie polityczne, w którem mieści się tyle niewiadomych; nic też dziwnego, że rządy nie postanowiły dotąd, co mają zrobić z nowym fantem. Obok roszczeń Turcyi wikłają położenie roszczenia państewek bałkańskich, z których każde chce coś zarobić. Najbuńczuczniej i zarazem najkomiczniej występuje Serbia. Jej odezwy, protestujące przeciwko „naruszeniu równowagi" i wyzwoleniu ludu pobratymczego, są tak wsrętne a pocieszne, że mogłyby służyć istotnie za libretto operetce, ułożone przez *Pet. Wiedomosti.* „Dla was to jest igraszką a nam idzie o życie"— powtarza Serbia ciągle—i pod pewnym względem ma słuszność. Mianowicie uruchomiła ona armię, a jest to zbytek za kosztowny na kieszeń takiej drobiny. Dziś król Milan—zwłaszcza jeśli rzeczywi-

ście istniał plan połączenia kilku narodów słowiańskich a między nimi i Serbii pod berłem Karageorgiewicza — ma do wyboru: *hic Rhodus, hic salta*, tj. albo uzyskaj coś, albo spadniesz z tronu, wyparty przez niestłumioną rewolucyę. Twórcy traktatu berlińskiego, uwzględniając to położenie Milana, pragną mu (przynajmniej niektórzy—np. Austrya) pomódz, uczynić zaś to mogą przecież tylko kosztem Turcyi. A Czarnogóra? a Grecya? a Macedonia? O tem wszystkiem również nie wiedzieli.

ZŁUDNE NADZIEJE.

Lwów, 28 września 1885.

Jeżeli wogóle ciekawem jest śledzenie życia parlamentarnego, które w wielu państwach europejskich jeszcze bardzo dalekiem jest od względnej nawet doskonałości, to parlament austryacki szczególnie nadaje się jako przedmiot do studyum niezmiernie ciekawego. Dość wskazać różnorodność ludów, które do Wiednia wysyłają swoich przedstawicieli, odwieczną nieprzyjaźń między szczepem germańskim a słowiańskim, która w walce parlamentarnej niejednokrotnie jaskrawo na jaw występuje, sprzeczność interesów krajów przemysłowych—jak Czechy, a rolniczych—jak Galicya, silną przewagę żywiołów konserwatywnych i klerykalnych, które stawiają nieustanne zapory na drodze postępu...

Lecz u nas nadto w czasie ostatniej kadencyi budził parlament wiedeński żywsze niż dawniej zajęcie z powodu upadku centralistów i wybitnego stanowiska, jakie w nim zajęli polacy. Sesya, w czasie której oni, jak to chętnie w kraju powtarzano, byli „u steru rządów," dobiegła przed kilku miesiącami do kresu. O smutnych jej rezultatach dla Galicyi wspomnieliśmy dawniej w *Prawdzie*. Było to w chwili przed urzędowem zamknięciem Rady państwa. Wobec dotkliwych klęsk materyalnych i moralnych zwracano z tęsknotą i nadzieją oczy na końcową mowę tronową, ostatni akt, który w przekonaniu ogółu mógł i winien był złagodzić jaskrawość owych klęsk i dodać otuchy na przyszłość. Prasa galicyjska pełną była podobnych przypuszczeń zwłaszcza od chwili, gdy rozeszła się wieść że zredagowanie mowy tronowej powierzono ministrowi Ziemiałkowskiemu. *Gazeta narodowa* sięgnęła była nawet głębiej w przypuszczeniach, licząc na zapowiedź gruntownej reorganizacyi parlamentu, jej zdaniem, koniecznej. Nie mówię już wcale o bałwochwalczych zachwytach służalczych organów, z których jeden (*Przegląd nr. 93*) w przededniu ogłoszenia mowy tronowej pisał: „Cała Austrya znajduje się niemal w gorączce, oczekując mowy tronowej; wszyscy ludzie dobrej woli każdej narodowości w państwie wyglądają tej dobrej nowiny z najwyższego miejsca, która niewątpliwie będzie miała charakter balsamu (!), gojącej oliwy (!!) i światła (!!!) dla tych, których umysły fałszami i sztucznym popłochem są zaniepokojone itd."

Nadzieje zawiodły. Mowa tronowa ówczesna zawierała suche zestawienie owoców ubiegłej sesyi parlamentarnej, a oprócz tego pod względem ekonomicznym zapowiedź nieustannej dążności rządu do przywrócenia równowagi w budżecie państwowym, pod względem zaś politycznym jedynie ogólnikową wskazówkę, że rząd w przyszłości kroczyć będzie raz obraną drogą.

Przeciągnęły się twarze. Ale że o pociechę łatwo, gdy ją kto znaleść pragnie, pocieszono się niebawem ową obietnicą kroczenia po raz obranej drodze, jak nie mniej ustępem, odnoszącym się do regulacyi rzek galicyjskich, która, zdaniem rządu, *powinnaby* być rychło przeprowadzoną. Zresztą nie było wiele czasu na dalsze rozmyślania nad mową tronową, bo niezwłocznie po zamknięciu parlamentu własne i obce druty przyniosły z pośpiechem wiadomość o rozpisaniu nowych wyborów. Uwaga zwróciła się teraz w nową stronę, poprzednie zaś rozprawy zakończono filozoficzną nadzieją, że „prawdopodobnie rząd zachował sobie wyjawienie swojego dalszego programu aż do chwili, kiedy monarcha otworzy nową sesyę Rady państwa."

W tej chwili mamy już i na to odpowiedź. Dzisiejsze pisma przyniosły nam całkowitą osnowę mowy tronowej, którą cesarz w uroczysty sposób zagaił onegdaj (26 b. m.) nową sesyę parlamentu. Oczywiście spodziewamy się czegoś niezwykłego i niesłychanie doniosłego, mając na oku nieziszczone poprzednio nadzieje, tudzież ostatnie zdarzenia polityczne pierwszorzędnej wagi, jak zjazd w Kromieryżu, wydalanie austryackich poddanych z Niemiec i najnowsze wypadki na Wschodzie. Niestety, rozczarowanie. Mowa tronowa z olimpijskim spokojem pomija wszystkie te drobnostki. Monarcha cieszy się hołdami dynastycznymi i patryotycznymi, jakie ostatnimi laty w czasie rozlicznych po krajach koronnych wszystkie ludy mu składały. Z tego czerpię otuchę, że w ciągu nowej sesyi działalność posłów rozwijać się będzie zbawiennie dla dobra Austryi i jej narodów. Następnie wylicza mowa tronowa cały szereg prac, którymi ma się zająć nowy parlament. A więc przedewszystkiem odnowienie ugody z Węgrami co do stosunku pokrycia potrzeb wspólnych, kwestya związku celnego i handlowego, dalej ustawa o pospolitem ruszeniu, która nie narzucałaby ludności żadnych ofiar w czasie pokoju a w chwilach ważnych podnosiłaby zdolność obrony i stanowisko państwa, zmiana taryfy celnej, ułatwienie zakładania kolei miejscowych, ustawa przeciw anarchistom i kodyfikacye prawodawstwa sądowego, polepszenie stanu klas roboczych a przedewszystkiem zabezpieczenie przeciw wypadkom i chorobom, kasy gwareckie, regulacya rzek zwłaszcza galicyjskich, ustawa o dziedziczeniu rolniczych posiadłości średniej miary, wreszcie dążenie do uporządkowania finansów. Kończy się mowa tronowa zapewnieniem, że stosunki z mocarstwami zagranicznemi są zupełnie zadawalające i że panuje zupełna zgoda w staraniach o utrzymanie pokoju, tudzież przyrzeczeniem równej opieki dla duchowych i ekonomicznych interesów wszystkich krajów i ludów państwa.

Oto i po wszystkiem. Pryskają bańki mydlane, topnieją zamki budowane na

---

1)

BITWA POD ŁOWCZĄ*)

przez

A. Wereszczagina.

Była godzina piąta rano. Słońce weszło, promienie jego objęły krajobraz, gdym stanął przed namiotem Kuropatkina dla złożenia mu raportu. Kuropatkin nie śpi; siedzi nad małym, składanym stolikiem i pisze.

— Panie kapitanie, działa gotowe — mówię, wchodząc do namiotu.

— Wiedziałem. Zlecenia, jakie panu daję, zawsze ściśle wykonywasz — odpowiada, dziękuje mi życzliwie i ściska za rękę. A teraz idź pan na spoczynek. Gdyby generał spytał o pana, powiem, że dałem ci urlop. Idź pan na spoczynek.

Zadowolony, w przyjemnem oczekiwaniu snu smacznego, poszedłem do mojego namiotu, który stał tuż obok.

Ale czyż może być mowa o śnie tam, gdzie w bliskości rozlega się brzęk skrzyń amunicyjnych, turkot dział, wołania komendy, wrzawa, okrzyki? Przez drzwi namiotu widzę skupione twarze przeciągającej piechoty, której ruchy nie są tak prawidłowe, jak w czasie ćwiczeń. Kroczy prawie wzburzona, zdradza troskę, jakby każda ze składających ją jednostek rozmyślała, czy życie utrzymać zdoła. W dniach pokoju nie widać wyrazu takiego na twarzach żołnierzy; występuje on jedynie przed potyczką lub w ciągu niej. Strachem tego nazwać nie można; jest to raczej zgoryczenie, niechęć do siebie samego i otoczenia. Szczególnie ostro rysuje się ten wyraz, skoro zabrzmi pierwszy rozkaz: „Podajcie nosze!" Natychmiast milkną rozmowy, żarty i śmiechy, zachmurzają się oblicza, każdego napastuje myśl: „Niezadługo na mnie przyjdzie kolej!"

* *
*

Bu-u-u-m! — grzmi pierwszy strzał armatni z naszej strony. Cz-a-a-a — odpowiada dźwięk, zaledwie dosłyszalny zdaleka, zwiastując, że bomba dogorywa.

Bu-u-u-um, bu-u-um, bu-u-um — grzmi strzał drugi — trzeci wzdłuż bateryj.

Zaczyna się walka.

— Generał nie wytrzyma — myślę sobie — pewnie nadjedzie zaraz.

Tak też się stało. Słychać znany głos chrypliwy, zmieniający litery *l* i *r* na *g*:

— Konia mi dajcie!

Wyjrzałem, podniósłszy nieco zasłonę. Generał jest w namiocie księcia Imeretyńskiego i rozmawia żywo. Po chwili wychodzą obaj i dosiadają koni. Skobelew jedzie znów na swoim siwku, ale już nie w bluzie, jak dnia poprzedniego, lecz w pełnym uniformie z orderami na piersiach: walka widać przed nami nie na żarty. Towarzysze moi, kozacy Gaitow i Choranow, których generał teraz właśnie zamianował swoimi ordynansami, wskakują na wierzchowców, szepczą coś do siebie, dają koniom ostrogę i z krzykiem, prześcigając się wzajem, odjeżdżają szybko.

Pułkownik Karandejew, w mundurze grenadierów konnych — dodanym on był Skobelewowi, z kwatery głównej na czas trwania bitwy — również z pewną godnością pędzi galopem, lekko pociągając za cugle, ażeby rumak dumnie opuszczał głowę. Kozacy, straż, adjutanci, ordynansowi, wszyscy strzałą mkną za zwierzchnikami. Jakiś kozak kubański z chorągiewką skobelewską, postrzelaną naszmaty, nie może sobie dać rady z koniem: koń obraca się wokoło jednego punktu, jeździec bije go nahajką, kopie w boki nogami i wkońcu pędzi za generałem.

— Mamże tu zostać? Co za sromota! A gdyby generał wspomniał o mnie, cóż pomyśli? Jadę. Hej, Łamakin! Konia!

— Czy pan chce herbaty? — daje się słyszeć głos a niebawem potem we drzwiach namiotu ukazuje się niebieski róg papaszy (wysokiej futrzanej czapki kaukaskiej) i z po za niej świecąca od potu twarz Łamakina.

— Gotowa?

— Tak jest. Herbata zaraz się zagotuje!

— Daj prędko!

* * *

*) Przekład z niemieckiego.

lodzie. Będą jednak tacy, którzy zechcą czytać między wierszami i zwrotom mowy podsuną jakieś wybitne znaczenie.

Daremnie. Jest ono bowiem tylko nauką dla galicyjskich zwłaszcza mężów stanu, że rząd, zasłaniając się ogólnikowymi frazesami, *nic* im nie da, czego sobie sami nie wywalczą? Tak było, jest i będzie. „Każdy jest kowalem swego losu.“ Chcemy mieć konstytucyę bardziej materyalną a nietylko formalną, trzeba ją stworzyć. A więc ciągły nacisk ze strony ludności i prasy na posłów, ażeby walczyli o ugruntowanie i rozszerzenie swobód konstytucyjnych i samorządu, żeby w tej walce postępowali wedle jakiegoś z góry ułożonego programu. Reforma podatków, ulgi dla przemysłu krajowego, regulacya rzek, uzupełnienie wszechnicy lwowskiej, decentralizacya zarządów kolei skarbowych i uzupełnienie sieci kolejowych, organizacya szkół fachowych i reforma rozpaczliwych stosunków służbowych w szkołach średnich, sprawa idemnizacyjna i wiele innych — tego oczekuje kraj z upragnieniem a zawiedziony niejednokrotnie w nadziejach musi już raz ujrzeć owoce pracy swych przedstawicieli, którzy i w tej jeszcze chwili wybitne zajmują stanowisko w parlamencie, gdyż inaczej rzuci na nich kamieniem potępienia i odbierze im swe zaufanie.

Dość złudzeń!

Leszek.

INTERPELACYA
z powodu edyktu pruskiego.
(Parlament wiedeński).

Sprawa wydalań z Prus oparła się nareszcie o jeden parlament. Na posiedzeniu Izby deputowanych Rady państwa w dniu 2 października wniósł p. Grocholski następującą interpelacyę:

„Rozporządzeniem królewskiego rządu pruskiego została w ostatnim czasie pewna ilość obywateli państwa austryackiego skazaną na wydalenie z Prus, pomimo iż posiadali oni przepisane legitymacye, i bez względu na to, czy ci, których to srogie rozporządzenie dotknęło, tylko przez czas krótki w Prusiech bawili, lub też tam się osiedlili i zabezpieczone mieli utrzymanie. Wskutek tego, *z zasadami prawa narodów i wogóle z podstawami nowoczesnej cywilizacyi sprzecznego postanowienia*, zagrożeni wydaleniem tracą możność zarobkowania, a z powodu krótkiego terminu, w którym mają interesy swoje uporządkować, są narażeni także na niepowrotną utratę majątków. Niejeden z nich, który jeszcze przed kilku tygodniami cieszył się mieniem poczciwie nabytem, zostaje naraz pogrążony w nędzy. Jak słychać, liczba tych obywateli austryackich, którzy z jednego tylko kraju koronnego, tj. z Galicyi pochodzą, a którzy zostali skazani na wydalenie z Prus, ma wynosić *kilka tysięcy*.

Wydalenia te nie dają się pogodzić z art. 19 traktatu handlowego, zawartego dnia 23 marca 1881 roku między monarchią austro-węgierską a cesarstwem niemieckiem, traktatu, który do dziś ma moc obowiązującą. Wspomnianym artykułem obywatelom obu państw wzajemnie zapewniono *zupełnie równe z własnymi obywatelami uprawnienie co do zakładania i prowadzenia przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych i co do odwiedzania targów i jarmarków.* Obowiązująca w cesarstwie niemieckiem ordynacya przemysłowa pozwala każdemu założyć i prowadzić przedsiębiorstwo przemysłowe, jeśli ono nie jest ze względów politycznych ograniczonem, skoro właściwej władzy o tem doniesie. Prawo to, wyjąwszy wypadki ustawami, mianowicie podatkowemi, wyraźnie przewidziane, nie może być odjęte ani przez sądową, ani przez administracyjną decyzyę. To ustawą zabezpieczone uprawnienie do założenia i do spokojnego prowadzenia przedsiębiorstwa przemysłowego, które na mocy traktatu z r. 1881 służy wszystkim obywatelom austryackim na całym obszarze niemieckiego cesarstwa, byłoby jednak złudnem, gdyby niezbędne do prowadzenia takiego przedsiębiorstwa prawo bądź to czasowego pobytu, bądź też stałego zamieszkania mogło być dowolnie tutejszym obywatelom odjęte.

Nie podlega przeto żadnej wątpliwości, iż c. k. *rząd austryacki ma nietylko prawo, ale także obowiązek wziąć w opiekę obywateli tutejszych*, wspomnianem rozporządzeniem ciężko dotkniętych i starać się o cofnięcie go, tudzież o stosowne wynagrodzenie szkód, jakieby wydaleni ponieśli.

Podpisani więc zapytują:

1) Jakie środki rząd przedsiębrał, aby zapobiedz naruszeniu zasad prawa narodów, powszechnie co do stosunku między państwami cywilizowanemi uznanych, a mianowicie, aby zapobiedz naruszeniu praw przyznanych obywatelom austryackim na obszarze królestwa pruskiego mocą wyraźnej ugody—jeśliby zaś rząd takich środków dotychczas nie przedsięwziął, jakie zamierza w tym kierunku kroki poczynić?

2) W jaki sposób zamierza rząd dać niezbędną pomoc tym obywatelom austryackim, którzy wskutek wydalenia z Prus utracili wszelkie środki utrzymania i na razie tylko za pomocą dobroczynności publicznej mogą się utrzymać przy życiu?“

Do historyi powstania tej interpelacyi podaje *Kuryer lwowski* kilka ciekawych szczegółów. W przeddzień wniesienia jej do parlamentu, obradowano nad całą tą sprawą w Kole polskiem. Podstawą obrad był referat p. Grocholskiego, w którym nie ma wzmianki o wydalaniu polaków, lecz „poddanych austryackich.“ Otóż poseł Lewakowski, przytoczywszy rozmaite dowody na to, że rozporządzenie rządu pruskiego dotyczy wyłącznie polaków, domagał się odpowiedniej zmiany w interpelacyi, lecz wniosek jego nie został przyjęty.

Jeszcze ciekawsze jest postąpienie Koła a za niem i reszty prawicy w innym punkcie. Oto pewna część posłów z lewicy (pono znaczna) miała się oświadczyć z gotowością podpisania interpelacyi. Oczywiście, jak słusznie *Kuryer* zaznacza, byłaby ona wielce zyskała na doniosłości w obliczu innych państw europejskich a nawet wobec ludności państwa austryackiego, gdyby była popartą przez wszystkie stronnictwa parlamentu. Lecz p. Grocholski, Hohenwart a właściwie „sfery rządzące“ nie ży-

---

Z pośpiechem wypijam herbatę z sucharem żytnim i dosiadam konia.

— Jak się masz, kochanie, zdrów jesteś? — pochlebiam zwierzęciu, głaszczę je, porządkuję grzywę, ogon, oglądam kopyta, podkowy i umieszczam się w siodle.

— Pamiętaj wszystko sprzątnąć należycie i nie pozostań w tyle za ludźmi generała — poraz setny polecam kozakowi.

— A na obiad, co pan rozkaże? — pyta, choć wie dobrze, że oprócz barszczu, niema nic.

— Ugotuj barszczu. Z kaszą gryczaną?

— Nigdzie niema. Tylko białej jeszcze jest trochę.

— No, to idź do gospodarza kazańskiego pułku, do tego majora, wiesz, co wczoraj był u mnie. Obiecał mi dać, czego będzie potrzeba. Rozumiesz?

— Do usług!

Szybko się oddala, nie czekając, aż pojadę.

Wyjeżdżam powoli, żeby odszukać generała. Zaczyna niknąć pierwszy ogień mojego zapału.

— Przyjadę jeszcze dosyć wcześnie — myślę — żeby zobaczyć wszystko. Jeśli tylko nie zabiją mnie! Ale gdybym został ranny — i do tego w nogę! Mechanicznie ściągam na kolano jedną połę mojej czerkieski (kurtki kozackiej) w nadziei, że to coś pomoże.

Głową to w jedną to w drugą stronę przerzucając, rumak mój stąpa lekko. Delikatne jego czarne uszy, o zwiniętych końcach, w bezustannym są ruchu; uderzają kopyta. Dzień jest pogodny, powietrze czyste i piękne, niewielki wietrzyk w lekkie wprawia je drgnienie.

— Gdyby to nie było przed bitwą, jak lekkim czułbym się na sercu, ale wypadek ten ściska je i nie daje mu spokoju.

Na całej linii bateryj naszych to tu, to owdzie unoszą się obłoki dymu. Jeszcze jeden rozpłynąć się nie zdołał, gdy już dosięga go i uzupełnia drugi, jakby wołał: „Stój, stój, pozwól niech cię dogonię.“ Nie widać dotąd pozycyj nieprzyjacielskich za górami. Gdzieś na prawo u dołu, po za pagórkiem, słychać pukanie z karabinów, ale gdzie — trudno rozróżnić.

Jadę dalej. Pozycye występują wyraźniej. Tam na lewo od szosy z góry nadciąga szwadron konwoju cesarskiego. Dowódca tłusty, otyły rotmistrz Kulebiakin swym głosem basowym komenderuje: „Na prawo trójkami!“ Widząc tych wybranych dzielnych gwardzistów w niebieskich, galonami obszytych mundurach czerkieskich, rzekłbyś, że masz przed sobą Pole marsowe w Petersburgu podczas parady. Konie — wszystkie nasycone, piękne; połyskują siodła i cugle. Ale jedno spojrzenie na twarze ludzkie wystarczy do przekonania, że tu nie parada się odbywa. Brak spokoju, obojętności. Czuć, że gotuje się coś niezwykłego. Gdzież dawna niewymuszoność, gdzie wesołe rozmowy, gdzie pieśni?

— A, setniku, witam cię — woła Kulebiakin, odwróciwszy się i spostrzegłszy mnie. Zawracam również mojego konia. Stajemy i gawędzimy.

— Pewnie pan zdążasz do generała? Niedawno przejeżdżał wraz z księciem, ku posterunkom...

Rotmistrz wiedział dobrze, że nie powiedział mi nic nowego; mówił dlatego, żeby mówić, bośmy stanęli przy sobie.

— Co nowego, ojcze? gdzież nasza brygada?

— Tam na prawem skrzydle — i wskazuję ręką w tym kierunku.

— Tak, tak, tam, wiem o tem — odpowiada.

Jeszcze kilka słów i rozstajemy się zamyśleni, życząc sobie wzajem szczęśliwej drogi.

— Naprzód, marsz! — zakomenderował.

Dogoniłem działa i wozy z amunicyą. Nieco w bok od drogi stoi furgon lazaretowy; konie, schyliwszy gęby, grzebią w sianie pełnem kurzu. Żołnierz pilnujący furgonu czołga na kolanach i batem zmiata siano rozsypane. Z drugiej strony furgonu, w cieniu, leżą sanitaryusze okryci płaszczami. Zaniepokojeni spoglądają z po za furgonu, ilekroć usłyszą zdala dochodzący, głuchy huk dział. Czy nie żądają od nich pomocy?

Nieco dalej, na lewo od szosy, rozłożył się pułk szujski, nie zdejmując płaszczów zwiniętych. Oficerowie oddzielną tworzą grupę, jedzą i piją.

— Setniku, setniku, do nas, wróć się pan! — zabrzmiało jakby z jednych ust. Ten pokazuje pudełko sardynek, inny kieł-

czyły sobie tej solidarności całej Izby i dla tego z powodu *braku czasu* nie udzielono interpelacyi do podpisu członkom lewicy. Mimo to jednak podpisało ją 135 członków z prawicy a rząd austryacki ma dość twardy orzeszek do zgryzienia. Na zażalenia jednostek odpowiadał dyplomatycznie, odsyłając wydalanych po wyjaśnienia do wydalających. Teraz, przyparty do muru, musi uczynić jakiś krok stanowczy w obronie swych poddanych a przynajmniej uratować pozory swej opieki. Dodajmy do tego kłopoty na południu a przyznać musimy, że położenie wcale nie do pozazdroszczenia. Trudno! Dziury łatać można tylko do czasu.

L.

Z NIEMIEC.

Papież sędzią. — Burszowski figiel, który może drogo kosztować. — Zgoda z głową a walka z nogami. — Wybory. — Zamierzona interpelacya. — Mówcy Koła polskiego. — Potrzeba odświeżenia sił. — Wygnani. — Jeszcze złudzenie. — Rdza na literaturze. — Dzieło Schefflera.

Zaisto trudno dziwić się niemcom, gdy wytrzeszczyli oczy, usłyszawszy, że Bismark w sporze z Hiszpanią o wyspy Karolińskie zdał się na sąd papieża. Były, ale dawno minęły te czasy, kiedy Stolica apostolska rozstrzygała zatargi monarchów. Wskrzeszenia tych czasów nikt się nie spodziewał, a już najmniej po żelaznym kanclerzu. Wprawdzie przed kilku laty oświadczył on, że chętnie Leona XIII, zamierzającego opuścić „dobrowolnie więzienie,“ sprowadziłby do Niemiec, ażeby katolicy, widząc, że ich papież „je, chodzi, kaszle i kicha jak wszyscy ludzie,“ mniej go ubóstwiali: był to wszakże raczej zuchwały, grubo opieprzony żart, niż myśl poważna. I teraz, dopóki gazety półurzędowe nie doniosły, że Schlötzer wręczył rzeczywiście Leonowi XIII list od cesarza Wilhelma w sprawie zatargu z Hiszpanią, powszechnie szydzono z tej pogłoski. Dziś stała się ona prawdą. I co ks. Bismarka skłonić mogło do przyjęcia takiego sądu? Pijawki „gadzinowego funduszu“ zapewniają, że jest to nowy „Geniestreich“ wielkiego męża, zasłaniający jakieś dowcipne posunięcie na szachownicy politycznej — nam się wydaje, że jest to chyba burszowski figiel mocarza, który lubi zadziwiać świat swoją oryginalnością. Jako środek agitacyjny przed wyborami, w których katolicy ważą na szali wiele, byłby ten figiel niezłym, gdyby ci katolicy nie mieli przywódców, którzy „wcześniej wstają“ od kanclerza i niełatwo dadzą się wyprowadzić w pole. O zawładnięcie Karolinami, wyspami nader małej wartości, nie dba on i bez żalu poświęci je dla efektu komedyi; ale zabawa w papieża może kosztować bardzo drogo. Lekceważony i pokonywany naczelnik Kościoła nietylko w przekonaniu katolików, ale i protestantów wyrośnie nagle na istotę obdarzoną wyższem posłannictwem, dostojną, czcigodną, która nie „kaszle i kicha,“ jak każdy śmiertelnik. Trzeba uprzytomnić sobie całe bałwochwalstwo niemieckie dla Bismarka, całą wiarę w jego wszechmoc, ażeby zrozumieć, jakie wrażenie sprawiła wiadomość, że ten olbrzym poddaje się wyrokowi papieża!

Tymczasem Leon XIII sumiennie zabiera się do włożonego nań obowiązku. Wyznaczył on już nawet do zbadania sprawy osobną komisyę — w której zasiada kard. Ledóchowski, cierń w niemieckiem oku — powołał znawców świeckich, między innymi prof. Alibrandego, wreszcie kazał poszukać w archiwum, czy tam niema odpowiedniej bulli. W epoce bowiem znalezienia Karolin (1686) istniał zwyczaj, że królowie hiszpańscy donosili papieżom o każdem nowem odkryciu i otrzymywali od nich rodzaj inwestytury pod warunkiem zaszczepienia w zdobytych ziemiach wiary katolickiej. Być może przeto, że Karol II o taką inwestyturę prosił Aleksandra VIII lub Inocentego XII, a ślad tego zachowałby się w bulli. Jakkolwiek hiszpanie nie dopełnili warunku i o szczepienie wiary na wyspach wcale się nie troszczyli, byłby to jednak pożądany dla nich dowód. „Według naszego prostego i poddańczego rozumu — zauważa na to *Frankf. Ztng.* — sprawa ta jest daleko prostszą, i Watykan mógłby sobie oszczędzić zarówno pracy komisyjnej, jak i grzebania w archiwach. Jak wiadomo, papież Aleksander VI w r. 1493 podzielił świat nowy na dwie części, z których jedną darował portugalczykom, a drugą hiszpanom. Karoliny przypadły ostatnim i urzędowe pisma madryckie od początku sporu z tej bulli wywodziły swoje prawo. Ponieważ zaś nieomylny papież nie może unieważnić wyroku poprzednika swego również nieomylnego, potrzebuje więc tylko powołać się na niego.“

Panowie mogą żyć w zgodzie, a ich służba bić się. Tej zasadzie hołduje i ks. Bismark, który nieraz już słodkie oczy robił do Leona XIII a swym dziennikarskim lokajom nie zabraniał łżyć katolików. Przyjacielski stosunek u góry nie przeszkadza mu również rządzić się nienawiścią na dole. Pomimo apelacyi do papieża w sprawie wysp Karolińskich, osławiony „kulturkampf“ nie łagodnieje i nie zapowiada żadnych ustępstw. Tamto ma oddzielny rachunek, a to oddzielny. Szczerze, czy nieszczerze kanclerz powtarza stale tę śpiewkę, że gdyby miał do czynienia z „głową“ Kościoła, dawno by już z nią zawarł pokój, ale z „nogami“ porozumieć się trudno. Stąd gra podwójna. Nadchodzące wybory do sejmu pruskiego nie obiecują, ażeby „nogi,“ tj. centrum katolickie osłabło. Znowu podjęto tylokrotnie udaremnioną próbę wytworzenia „partyi środkowej“ z konserwatystów i narodowo-liberałów, któraby bezwładnie i bezmyślnie służyła rozkazom dyktatora. Prawie nie ulega wątpliwości, że i tym razem ta ulubiona jego myśl pierzchnie w krainę niespełnionych marzeń, że ten muł polityczny nie narodzi się. Narodowo-liberalni, te mizerne i brudne wiechcie są gotowe do wszelkiego użytku, ale część konserwatystów, dumnych junkrów, czuje odrazę do złączenia się z nimi w jedną wiązkę.

Koło polskie sejmu rzeszy zamierza interpelować rząd w przedmiocie wydaleń. Zaznaczam: sejmu rzeszy, a nie pruskiego, gdyż w tym ostatnim interpelacya taka wniesioną już była na wiosnę, a regulamin ponawiać jej nie pozwala. Na nieszczęście urzędowi mówcy Koła w sejmie niemieckim nie są Cyceronami i nie wznoszą się w swych

---

basę lub butelkę. Odmówić nie można. Przybliżam się więc.

— Weź konia! — jednogłośnie wołają na najbliżej stojącego żołnierza, jakby z wyrzutem żalu: bo i dla czegóż sam bez rozkazu nie domyśla się, że należy zatrzymać konia takiego, jak ja, człowieka!

Dowódca batalionu, wysoki mężczyzna, z jasnym wąsem, wstając z bębna, na którym siedział, nie bez godności zaprasza mnie na przekąskę i ręką wskazuje mi miejsce obok siebie na rozpostartym płaszczu.

— Proszę — pozwól pan — co Bóg dał...

Wszyscy usługują mi i jednocześnie obsypują pytaniami: gdzie walczą, gdzie pułk ten lub ów, wiele mamy dział, dokąd pojechał generał? Widocznem jest ich zadowolenie, że spotkali człowieka, który tak blisko jest z wodzem naczelnym i którego o objaśnienia spytać mogą. Z przyjemnością mówię wszystko, co wiem, utrzymując jednak, że wiem nie wiele.

— Co pan tu porabiasz, majorze? — zapytuję dowódcy batalionu.

— Czekamy, widzi pan, dalszych rozkazów; jeszcze niema żadnych.

Majorowi widocznie nie podobał się ton mojego zapytania; żeby je przerwać, woła dieńszczyka dla sprzątnięcia resztek uczty. Oto już mamy los... Wiatr ku nam przenosi grzmot dział. Znów zaczyna mnie coś ciągnąć ku walczącym. Przykro to, doświadcza się wyrzutów sumienia: jakże można siedzieć spokojnie i gawędzić, kiedy prawdopodobnie o kilka kroków dalej już krew się leje.

— Muszę dalej!—Do widzenia, panowie! Dzięki serdeczne za przyjęcie!

— Zostań pan, przybędziesz jeszcze dość wcześnie — radzi major z powagą.

— Poczekaj pan, choćby kilka chwil tylko—proszą jego podwładni z wyrazem radości dziecięcej.

— Jeszcze kieliszek czerwonego na drogę, zalecają niektórzy skromniejsi, nie nagląc do pozostania.

Na prawo od szosy ciągnie się stok górzysty, który stopniowo się zniża i tworzy płaszczyznę pokrytą mnóstwem drzew wysokich a rozłożystych. Pod niemi w cieniu swobodnie urządzono plac opatrunkowy. Pomiędzy białymi namiotami na łące widać już nosze zakrwawione. W otwartych drzwiach namiotów poznać można poważne twarze lekarzy. Z jednego wychodzi żołnierz, spokojnie przepłukuje miskę pełną wody krwawo zabarwionej, przechyla ją w jedną i w drugą stronę, ażeby żadna nie pozostała w niej kropelka, a potem najobojętniej wraca do swego zajęcia. Ściska się serce; przed oczami duszy unosi się znany obraz z pod Plewny. Spiesznie omijam to wszystko. Za placem opatrunkowym stok górzysty rozpoczyna się w dalszym ciągu.

O jakie sto prętów, u zakrętu, natrafiam na nosze. Dwu żołnierzy z pośpiechem niesie rannego, usiłują równym iść krokiem, trzeci leci za nimi, przeskakując to w prawo, to w lewo, żeby nie zatrzymywać noszących; poprawia on na rannym płaszcz, który zsuwa się ciągle. Zakryta czapką twarz chorego jest niewidzialną, ale ręka jego biała, jakby z wosku, bezsilna, wygląda z pod płaszcza, jakby błagała: „Stójcie, stójcie, nie nieście naprzód, lepiej połóżcie mnie w cieniu drzewa i pozwólcie umrzeć spokojnie — bez noża — bez felczera.“

— Co mu jest? Niebezpiecznie?

— Źle, wielmożny panie! — odpowiadają niosący sucho, świadomi oczywiście całej ważności obowiązku bratniego, który spełniają i który mimowoli stawia ich na równi ze zwierzchnikami. Krokiem miarowym postępując, znikają za zakrętem szosowym.

— Fiju-fiju-ju-ju-u-u—świszcze kula zbłąkana. Fiju-ju-ju-u-u-u—świszcze druga, ale nieco opodal już. Chybiona, spóźniona, kulo kochana — myślę sobie złośliwie. Oczywiście—to kule zbłąkane, przychodzące z daleka i bezsilne, gdyż od nieprzyjaciela wielka jeszcze dzieli nas odległość. Po drodze wszędzie połamane koła, wozy wywrócone. Na stronie leży koń raniony. Chwilami usiłuje się dźwignąć, podnosi głowę, rozgląda się wokoło, z bólu gryzie ziemię i znów upada z jękiem przeciągłym. Płaszcze, tornistry, kociołki rozrzucone wszędzie, tam znów pas oficerski z rewolwerem. Nie bez trudności porzucony, pewnie zapóźno już było myśleć o nim. Za górami kule świszczą coraz

występach po nad poziom rzewnych kazań. Wogóle reprezentacya poznańska potrzebuje odnowić swe siły, zasilić się ludźmi energiczniejszymi, młodszymi, którzyby umieli ze swej piersi wydobyć coś więcej, prócz gorzkich żalów i wytartych w częstem używaniu frazesów. Przykro, ach, jak przykro patrzeć, że niemcy mów polskich w parlamencie wcale nie słuchają, że je umieją na pamięć, że one dostarczają wypoczynku dziennikarskim stenografom. Niestety, skostniała rutyna, prowincyonalne nimbusy, zakreślone nad głowami kanonizowanych rzeczników Koła zagradzają pole skazanym na milczenie umysłom dzielnielniejszym, zdolnościom młodszym. Powiedzmy to sobie otwarcie: ks. Jaździewski np. jest polakiem dobrym, człowiekiem inteligentnym, ale mówcą parlamentarnym słabym, zamieniającym często trybunę na ambonę. Nawet bogatemu kolatorowi można w kościele dać ostrą naukę i zmusić go do przyjęcia jej pokornie, ale z Bismarkiem, Puttkamerem, Gosslerem trzeba pojedynkować się na słowa zimno, zręcznie, przebiegle.

Powszechnie już uznano ten fakt, że epoka Bismarka nie sprzyja ani nauce, ani literaturze. Śród szczęku oręża muzy zamilkły. Na najlepsze umysły padła rdza polityczna, która je przeżera. Wszyscy politykują, a przynajmniej socyologizują. Nieprzerwanym potokiem płyną dzieła i broszury ekonomiczne, a zwłaszcza poświęcone rozbiorowi socyalizmu wszelkich postaci. Jest to hak, na którym każdy chce zawiesić swój rozum. Niewątpliwie, do wyjaśnienia wielu zagadnień ekonomicznych prace te przyczyniły się bardzo, a potomność otrzyma po obecnej dobie bogatą spuściznę teoretycznych i praktycznych rozwiązań kwestyi socyalnej.

Dr. Hermann Scheffler powziął bardzo szczęśliwą myśl ujęcia w jedną całość wiedzę ludzką o świecie i wydał obszerne dzieło p. t. *Die Welt nach menschlicher Auffassung* (Lipsk). Zajmuje on się tu materyą i jej własnościami, przedstawia subjektywne warunki poznania, życie i uszeregowanie organizmów; ale wolelibyśmy, ażeby autor zebrał, połączył i uporządkował wyniki nowoczesnych badań przyrodniczych, nie kusząc się o swój własny „system“ filozofii, który nie jest zbyt głębokim a jest dostatecznie ciemnym.

O innych nowościach książkowych później.

Liber.

„KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA.“

I.

(F. Jezierski).

Było to dawno pożądanem, ażeby ktoś zajął się historycznym rodowodem naszego — darujcie niestosowną nazwę — liberalizmu. Miała myśl wolna w Polsce krótkie i ubogie dzieje, ale miała je. Badacze jednak przeszłości naszej albo pomijali tę czerwoną nić, albo ukazywali tylko w kawałkach. Do pewnego czasu mieliśmy tylko historyę szlachty, dotąd mamy tylko historyę konserwatyzmu. Zdaje się też, jak gdyby nad pradziadami naszymi powiewał wyłącznie sztandar zachowawczy, jak gdyby po za kłótniami politycznemi, po za odszczepieństwami religijnemi nie było różnic, nie było buntów. Zgodnie z tem dość powszechnem przekonaniem, każdy woźny trybunału współczesnej nam literatury pozywa postępowców o wykroczenia przeciwko „tradycyom narodowym.“

Niewątpliwie jednym z najwymowniejszych przejawów historycznych naszego liberalizmu był ruch umysłowy, wywołany przez „Kuźnicę Kołłątajowską,“ którą właśnie przedstawił w swej rozprawie W. Smoleński *). Autor usunął na bok mistrza — ogółowi najbardziej znanego a dla uczonych w wielu rysach jeszcze wątpliwego — i nakreślił wizerunki jego pomocników.

Pierwsze miejsce w tem gronie zajmował Franciszek Jezierski, pochodzący z obfitego roju drobnej szlachty łukowskiej, o której sam żartobliwie powiada: „Choćby jakim przypadkiem zabrakowało we wszystkich narodach Europy szlachty, byle się moja ojczyzna została, wystarczyłoby zaraz poludnić kniaziami, milordami, dukami, grafami, baronami, markizami wszystkie królestwa i jeszcze by się zostało opatrzyć Hiszpanię we wszystkie jej bardzo potrzebne wielkości.“ Po wyjściu ze szkół, spróbowawszy karyery w urzędach cywilnych i wojsku, został wreszcie księdzem i wizytatorem szkół. Na tem stanowisku zebrał wiele doświadczeń i zbudził przeciw sobie wiele niechęci. Kołłątaj osiadłszy w Warszawie i rozpocząwszy ciskać gromy, ściągnął Jezierskiego do swej „kuźni,“ w której je przygotowywano. I jakie to gromy?

„Co było na górze — będzie na dole, a co było na dole — będzie na górze,“ — to ogólne hasło streszcza, może nieco przesadnie, kierunek myśli Jezierskiego — obrońcy stanów upośledzonych, mieszczaństwa i ludu, a wroga uprzywilejowanej szlachty, z której szydzi, którą gryzie, oskarża i potępia. Według niego szlachcic w Polsce jest tem samem, co monarcha na tronie: ma nad sobą prawo, które sam stanowi i którego nie słucha... Nakazuje podatki, wypłaca je zaś chłop, mieszczanin, żyd i ksiądz. Żyje złudzeniami równości, jak komedyant w teatrze, grający role Cezara lub Achillesa. „W Wielkopolsce jest szlachta brukowce, siedząca w miastach: ci są żebracy, pijacy, próżniacy, a często nawet hultaje. Gdy następują sejmiki, majętniejsi obywatele każą przenicować swoje mundury, poubierają brukowców — przywiezie każdy swoją partyę na sejmik, poi, nazywa panem bratem i... pokazuje się równość.“ W Małopolsce zaś panowie pędzą ów nędzny a pyszny tłum na obrady, jak na szarwark, i tam każą mu wybierać wskazanego posła a w potrzebie bić się. „Takiemu szlacheckiemu gminowi dadzą na sejmiku obficie gorzałki, miodu i nazywają: mości panowie bracia... Ten sam szlachcic, którego asawuła wygania na powinność gruntową batogiem, staje się naraz równym swemu panu.“ Wyszydziwszy sędziów, mówi dalej Jezierski o handlu politycznym, „własnym narodu polskiego“ — wewnętrznym

*) Rozszerzona i uzupełniona odbitka z *Ateneum*. Kraków.

---

częściej. Na lewo od drogi siedzą artylerzyści, trzymając konie za cugle. Se-e-eczak! — w bliskości uderza kula. Z uderzenia wnosząc, śmiało powiedzieć można, że dosięgła celu. Konie rzucają się w bok, a jeden ranny skacze na trzech nogach, czwartą zwieszając bezwładnie. Gruba kropla krwi na przedniej nodze, tuż nad samem kopytem, wyraźnie wskazuje miejsce, w które ugodziła kula. Jakby z ziemi wyrosły, zjawia się siwy wąsacz—przedtem widać go nie było—i gniewnie napada na swoich podwładnych:

— Kazałem odejść stąd, nie, nie słuchają! Marsz, precz, ażeby z was śladu nie było! Precz z oczu!

Groźnie wymachuje ręką.

— Któż może wiedzieć, gdzie padnie? mruczą, odchodząc.

Koń ranny nie chce pozostać; bez cugli i naszelnika niezręcznie, nie biegnie za innymi.

Z pagórka mam przed sobą posterunki i wojska nasze. Skobelew i Imeretyński wraz ze świtą jadą mi na spotkanie. Gaitow i Charanow w tym samym również zbliżają się kierunku i wyglądają bardzo zadowoleni. Z uśmiechem zdaleka dają mi ręką znak powitania.

— Dzień dobry, Wereszczagin — mówi Skobelew — podając mi rękę; jedź z nami ojcze, na górę, gdzie na noc ustawili działa.

Rad pędzę naprzód, skręcam na prawo od szosy i jadę wzdłuż po znanej ścieżynie. W dzień okolica całkiem zdaje się zmienioną. W nocy nie widziałem pola kukurydzowego tuż obok; gdzieniegdzie domek, chatka. Mając towarzyszy za sobą, wjeżdżam na górę. Byliśmy już prawie u wierzchołka, gdy nagle Skobelew wyprzedza nas galopem i na chwilę zatrzymuje się u dział. Wszyscy zsiadają z koni. Na prawo i na lewo grzmią armaty.

— Druga! woła zrumieniony młody oficer w okularach i z binoklami w ręku, spiesząc na bok, żeby obserwować bieg kuli. Za nim kilku żołnierzy. Ogłuszający huk, zgiełk—jakby chodziło o wypróbowanie mocy uszu naszych. Dotykam ucha mojego, czy nie straciło słuchu. Nie, tylko trochę mnie swędzi. Głuchy łoskot zmniejsza się powoli. Oficer i żołnierze ciągle jeszcze stoją jak w ziemię wbici i patrzą. Pochylają się bez ustanku i wyglądają poza dym, który coraz więcej osłania posterunki nieprzyjacielskie. Strzelanina umilkła, nie dopiąwszy celu.

Na przedzie stoi Skobelew, oparty na szabli, obok Imeretyńskiego; oko jego przy pomocy binokli obserwuje bateryę nieprzyjacielskie. Górzysta okolica w tej stronie coraz więcej staje się płaską. W odległości dwóch wiorst może, niby wstęga niebieska, wije się rzeczka Osma. Z po za niej wygląda biała Łowcza. Na prawo od miasta, nie więcej, niż o wiorstę, na płaszczyźnie widać dwie silne reduty nieprzyjacielskie.

— Tu... oto są, i zaraz dwie naraz! — mówią pomiędzy sobą artylerzyści. Niby błyskawica zaświeciło coś w jednej z redut, potem po raz drugi. Następnie wybuchają dwa białe obłoki dymu i jakby mały wątpliwość, gdzie pobiegły strzały, zwolna, w zamyśleniu unoszą się w górę. Jeszcze rozpłynąć się nie zdołały, gdy u boku naszego spadły kule i zamarły z głuchym łoskotem. Wzmaga się ogień artyleryi. Nieprzyjaciel widać mało ma dział; oczywiście nie może mierzyć się z nami.

— Panie, zwraca się Skobelew do młodego oficera, jaką odległość pan wyznaczasz?

— Teraz weźmiemy 1,200 prętów, brzmi odpowiedź pełna zakłopotania i przestrachu niezdolnie.

— Kartacze?

— Zwyczajne granaty!

— Czy nie można kartaczów? —Generał szczególne miał upodobanie do tych ostatnich.

— Granat kartaczowy! — zawołał oficer i co tchu rzucił się do działa, szczęśliwy, że mógł spełnić życzenie generała. A tam na górze bombardierzy pracują z całych sił, żeby po raz drugi się nie skompromitować. Spoceni, z okiem zwróconem na kulę, pędzą w prawo i w lewo. Oficer przyskakuje na chwilę, próbuje i znów się usuwa. Trzecie działo — ognia! Bu-u-u-u-pęka z trzaskiem. Wszyscy uciekają przed dymem, żeby widzieć, gdzie skonała bomba.

— To celnie! bardzo dobrze, pękła w samym środku! Ach, jakżeż się przepołowiła! zawołali artylerzyści z radością i znów pobiegli do działa.

(D. n.).

i zagranicznym: do pierwszego należy najmowanie się na sejmiki, sprzedawanie sprawiedliwości, urzędów i dostojeństw, przedmiotem drugiego jest ofiara usług gabinetom sąsiedzkim. Ostatni prowadzą senatorowie i ministrowie, drobniejsza bowiem szlachta odgrywa w nim tylko rolę kramarzów i drobnych przekupniów. Tak urządzona rzeczpospolita podlegać musi „nieszczęśliwym wypadkom." Ma ona nieszczęścia, lecz „swoje własne," oddzielne od innych narodów, jak: bezkrólewia, konfederacye, elekcye, poparcie elekcyi, pacyfikacye, amnestye." Klęski te wystarczą „za trzęsienia ziemi, za powietrze, za wszystkie skutki szkodliwej wojny."

Przekonania swoje streszcza Jezierski w następującem *credo*: „Wierzę i wyznaję wolność stanu szlacheckiego w Polsce, stworzycielkę nierządu, ucisku, ohydy, która wyzuła chłopów z prawa człowieka, a mieszczanina z praw obywatela, z której poczęło się możnowładztwo panów, wyrządzające niezgodę, podłość i podział szlachty na partye, idące za duchem szalbierstwa i zuchwalstwa możnych. Wierzę, że król, wyzuty z władzy, należącej do tronu, cierpi przymówki często nadaremne o nieszczęścia kraju, których przyczyną jest możnowładztwa powodzenie. Wierzę, że wojsko, skarb, straż praw i bezpieczeństwo stolicy, podzielone na cztery dostojeństwa, jest przyczyną ucisku, zdzierstwa, prześladowania i niesprawiedliwości. Wierzę w przekupienie senatu i posłów, wierzę w obcowanie ich z postronnymi ministrami i, za porozumieniem się ich łakomstwa, wierzę w zmartwychwstanie cudzej przemocy i nierządu. Wierzę w odpuszczenie krzywoprzysięstwa i zdrady i kiedyś przecie otrzymanie lepszego rządu w Polsce — *amen!*

Takim był polityczno-społeczny pacierz Jezierskiego, nienawidzącego przedewszystkiem możnowładztwa i przysądzającego mu wszystkie nieszczęścia. „Co tylko — mówi on — może bezrządny kraj ponosić nędzy w potrzebach wewnętrznych gospodarstwa, kupiectwa i rękodzieł, co tylko może poniżyć w zaszczytach jego sławę przed narodami — tego wszystkiego przyczyną i skutkiem, pomocą i środkiem jest przewodzące możnowładztwo panów bogatych w Polsce." Naturalnie ostro występował przeciwko elekcyi królów, którą panowie dla łowienia ryb w mętnej wodzie pragnęli utrzymać. Stworzył on sobie nawet wywód historyczny, potwierdzający jego rozumowania demokratyczne. Według niego pierwotnymi mieszkańcami Polski byli sarmaci, podbici później przez słowaków (słowian). „Przez tyle wieków ta najszlachetniejsza cząstka obywateli (sarmaci — lud) zostaje dotąd bez żadnej opieki prawa. Takowy sposób myślenia i postępowania właścicielów ziemi, lubo z ohydą wspólnej natury człowieka i prawdy w rozumie, lubo przeciwny uczuciom serca, ale że pochodzący z okrutnego źródła wojny, ale że wsparty nienawiścią i zemstą ku tym, których się zdobyło — utrzymuje się po dziś dzień przemocą wychowania, nałogiem wieków. To podaje wskazówkę tej prawdzie, że w mojej ojczyźnie dziedzic ziemi z jednego narodu, a rolnik, pracujący na tej ziemi, z drugiego muszą mieć swoje pierwiastkowe początki." Nie wahał się Jezierski głosić nawet zagłady stanu szlacheckiego. „Jakiejże zgody — pyta — spodziewać się można między siłą uciśnionego, a szaleństwem uciskających? Trzeba albo postąpić ludowi dalej, albo się cofnąć; trzeba znieść klasę uprzywilejowaną *zupełnie*, albo ją uznać, chociaż stanowi dla społeczeństwa ciężar i jarzmo." Pod przewodnictwem prezydenta Warszawy Dekerta a pod wpływem wypadków francuskich, rozpoczął się (1789) ruch miast, żądających rozszerzenia praw. Jezierski mocno popierał „czarną procesyę," podającą królowi napisany przez Kołłątaja memoryał — wywołując obawy i piorunujące odpowiedzi. Można było wtedy — według niego — „naczytać się i nasłuchać dowodów przeciw stanowi miejskiemu, wziętych z nieba od dziewięciu chórów anielskich, z kościoła od dwunastu apostołów, z anatomii z układu członków w ciele człowieka, z przykładu historyj szwedzkich, duńskich, angielskich, rzymskich dawnych i francuskiej dzisiejszej." Jezierski nie ustępował, posługiwał się bądź nauką, bądź szyderstwem. „Kto wysiewa dziewięć korcy żyta na swojem dziedzictwie, nie jest bardziej interesowany losem swojej ojczyzny od tego, kto w Warszawie, ma zamurowanego gruntu sto łokci." Dla czegóż więc o potrzebach kraju ma radzić tylko „pan Kutasiński herbu Dęboróg przez ten wzgląd jedynie, że się urodził szlachcicem." Nareszcie gdy dla ułagodzenia mieszczan udzielono znaczniejszym 422 nobilitacyj, uderzył gwałtownie na zdrajców wspólnej sprawy, ostrzegając: „Oto, nowonobilitowani mieszczanie, obawiano się, ażebyście majątkiem, radą i kredytem waszym nie oswobodzili z niewoli, ucisku, wojen domowych, uciążliwości podatków kilku uboższych waszych braci. Chciano złączyć interes wasz z interesem szlachty, a oderwać serca wasze od interesu ludzi." Zachęcał więc, ażeby się zrzekli otrzymanych zaszczytów i podnieśli bunt, grożąc: „Imię wasze, upstrzone szlachectwem, okryje wieczna hańba i przekleństwo żyjących i żyć mających." Można sobie wyobrazić, jakie oburzenie w obozie przeciwnym wywoływał ten śmiało rozdmuchiwany ogień. Posypały się broszury, ziejące gniewem, zemstą i potwarzą. Pewien bezimienny autor nazywał Jezierskiego „jednym z owych podłych i nieroztropnych pismaków, o jakich w żadnym kraju nietrudno," „zbrodniarzem." „ofiarnikiem ołtarzów Wenery," okrytym „szanowną (księżą) suknią."

Obok całego radykalizmu, pętał Jezierski swą myśl wyobraźniami wieku i nieraz wznosił to, co obalał. Ostatecznie chciał zachować „stany" według „anatomii," której stosowanie w socyologii ośmieszał.

„Głowa, piersi z brzuchem, ręce i nogi składają postać osobistego ciała. Żeby człowiek posiadał życie i zdrowie, potrzeba równego obrotu krwi we wszystkich częściach. To jest ustawa natury... stan szlachecki jest *głową*, stan miejski jest jak piersi i żołądek, stan pospólstwa jak ręce i nogi." Chciał on, „ażeby król był zbudowany ze wszystkich najlepszych przymiotów tak, jak jest zrobiony mechanicznie okręt."

Między innemi pracami został po nim rodzaj *Encyklopedyi* francuskiej, zawierający *Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane.* Mieszczą się w tym słowniku luźne jego uwagi o różnych przedmiotach, często bardzo dowcipne i świetnie wyrażone, a gorzkim pesymizmem nasiąkło. Tak np. skarży się na złe nauczanie: „Nie wiem kto pierwszy wynalazł kluski greczane ze słoniną, a o tem wiem, że Tamerlanes wojował z Bajazetem, a Aleksander W. z Daryuszem." Narzeka na wojny. „Czyli w wieku naszym mniej się przelało krwi ludzkiej od przeszłych wieków? czyli są częściej powstające wojny w Azyi, Afryce, jak w naszej Europie, i czyli która część świata chowa naraz do dwóch milionów ludzi, którzy na to są wyznaczeni, aby się uczyli zabijać drugich i aby przełożeństwa krajów straszyły się nimi wzajem?... „Gdyby był taki w naturze przypadek, żeby się 30,000 niedźwiedzi mordowało z drugą tak liczną kupą, czyliby sobie potem to bestye liczyły za słodycz w swojej pamięci i sercu przypomnienie tego okropnego zdarzenia?" Dzisiejszy fejletonista szczyciłby się tym humorem, dowcipem, błyskotliwością wyrażenia, z jaką Jezierski chłostał wady narodowe. „Polak uboższy względem majętniejszego jest nakształt sztuki kryształu, który, na czem kto położy, taki zaraz rzeczy pokazuje na sobie kolor." „Książki — pisze w innem miejscu — to są weksle prawdy i nieprawdy, mające wypłacać wiadomość w potomności." „Francya, czyniąc nowy rząd, i Polska poprawując stary... są dziś najpierwszemi aktorkami. Pierwsza odprawiła tragedyę, druga do komedyi przystępuje."

„Uderza w luźnych Jezierskiego uwagach — powiada Smoleński — bystrość spostrzeżeń, niezwykły dowcip, nierzadko paradoksalność, błyskotliwością swoją pokrywająca mylność założenia lub wniosku. Paradoksalność owa w całokształt poglądów Jezierskiego na stosunki ludzkie i życie wprowadza niekiedy dysonanse, których po daleko sięgającym umyśle trudno się było spodziewać. Jest autor *Katechizmu* postępowym i radykalnie nawet, a jednak niektóre jego zapatrywania zdradzają nałóg lub księdza. Był niewątpliwie takim deistą, jak Kołłątaj lub Staszyc, bardziej jednak akcentuje religijność swoją; należał do najmocniejszych pesymistów, a przecież ośmnastemu wiekowi wyrzucał, że wątpi. Oprócz tego, przy całym radykalizmie, dotyczącym sfery stosunków polityczno-społecznych, w kwestyach natury cywilnej trzyma się na stanowisku legalnem i broni prawa."

Walka nie pozwoliła mu spokojnie swych przekonań dopasować i pogodzić, namiętność widzieć jasno prawdy, a wczesna śmierć zasłynąć. Wypadł z pamięci potomnych prędko, chociaż Kołłątaj słusznie przewidział, że jego myśli „czytać będzie z ukontentowaniem odległa nawet potomność."

Poznajmy teraz innych pracowników „Kuźnicy."

(D. n.).

H.

TEORYA WARTOŚCI MARXA.

(Kilka uwag krytycznych).

„Bogactwo społeczeństw, w których panuje kapitalistyczny sposób wytwarzania—tak zaczyna Marx swe znane dzieło—przedstawia się jako niezmierne nagromadzenie towarów." Cóż to jest towar? Jest to przedewszystkiem przedmiot użyteczny, zaspakajający swemi własnościami pewną potrzebę człowieka. Te własności towaru nadają mu *wartość użytkową* (np. surdut chroni od zimna). Ale szewc, aby dostać surdut, musi w zamianie dać zań np. parę butów, z czego otrzymujemy stosunek: 1 surdut = 1 parze butów. Stosunek ten przedstawia nam *wartość zamienną* surduta, tj. wartość zamienna danego towaru wyraża się w ilościowym stosunku, w jakim on zamienia się na inny. Pozornie stosunek ten nie przedstawia nic stałego. W różnym czasie i miejscu bywa on rozmaitym. Następnie, zamiast porównania surduta z butami, mogę go porównać z pewną ilością złota, herbaty, cukru itd. Przedstawiając tym sposobem wartość zamienną 1 surduta w pewnej ilości zboża, herbaty itd. zauważamy jednakże, że pozostaje ona bez zmiany, że zawsze wyrażamy tu tę samą wartość jednego surduta. Wartość zatem zamienna 1 surduta, jako stała, musi być czemś odmiennem od tego zmiennego stosunku, w którym ją wyrażamy.

Przyjrzyjmy się jeszcze bliżej jakiemukolwiek stosunkowi, wyrażającemu wartość zamienną: np. 1 surdut = 10 funt. herbaty. Porównywamy tu z sobą dwie różne ilości dwu towarów, odmiennych tak swemi własnościami fizycznemi, jak i użytecznością, słowem dwie rzeczy, na pierwszy rzut oka, niewspółmierne. A jednak ró-

wnaniem tem powiadamy, że w dwu tych rzeczach—1 surducie i 10 funtach herbaty—jest coś wspólnego. Wspólność ta nie może polegać na własnościach towarów, które nadają im wartość użytkową, bo, jak wiemy, towary różnią się niemi. I—dodajmy—muszą się niemi różnić, bo przy zamianie chcemy zawsze zamienić dwa różne—różne jako wartości użytkowe; nie zamieniamy przecie surduta na surdut. Jeżeli jednak wspólność tę między surdutem a herbatą stanowią nie ich użyteczne własności, jeżeli własności pozostawimy na boku, cóż wspólnego łączy dwa porównywane towary? Ta tylko ich własność, że oba są wytworami pracy. Substancyą zatem wartości zamiennej jest praca, która nadaje towarom wartość zamienną.

Odkrycie owej substancyi wartości nie jest zasługą Marxa. Kwestya ta zajmowała już Arystotelesa, który przeczuwał, iż w równaniu: 5 łóżek = 1 domowi, między dwoma tymi różnymi przedmiotami, jak łóżko i dom, musi istnieć coś wspólnego. Sam Marx cytuje bezimiennego pisarza z 1740 r., który twierdzi, że przy zamianie wartość rzeczy użytecznych określa się ilością pracy niezbędnie wymaganą i zwykle używaną do ich wytworzenia. Adam Smith w dziele *O bogactwie narodów* również uważa pracę za twórczynię wartości, chociaż myśl ta jest u niego jakby rzuconą mimochodem tylko. Dawid Ricardo już wyraźnie uważa pracę za substancyę wartości. Pogląd ten stanowi podwalinę całego jego systematu ekonomii politycznej. Teorya jednak wartości zamiennej Ricarda spotykała zarzuty, na które zwolennicy poglądów wielkiego myśliciela nie znajdowali odpowiedzi. Rzeczywiście, jeżeli wartość rzeczy zależy od ilości pracy, użytej na wytworzenie tej rzeczy, to surdut np., zrobiony przez leniwego lub niezdolnego krawca w ciągu 10 dni, zawierać będzie dwa razy tyle pracy, co surdut wytworzony przez pracowitego i zdolnego majstra w ciągu dni 5. Tę lukę w teoryi wartości Ricarda zapełnił właśnie Marx.

Praca — powiada on — jest substancyą wartości. Ale nie praca Pawła lub Gawła lecz *ludzka abstrakcyjna*. Zauważmy przedewszystkiem, iż w społeczeństwie istnieją rozmaite rodzaje pracy: krawiecka, tkacka, rolna itd. Każda z nich przedstawia sumę pewnych celowych czynności, odróżniających dany gatunek pracy od wszelkich innych, wytwarzających powien rodzaj wartości użytkowych. Tak np. praca krawca składa się z oddzielnych czynności: krajania, fastrygowania, szycia, prasowania itd. Ta suma *specyficznych* aktów odróżnia pracę krawca od pracy np. szewca i wytwarza pewnego gatunku wartości użytkowe: odzież. Otóż pracę, rozpatrywaną z tego punktu widzenia, jako *twórczynię wartości użytkowych*, nazywa Marx *pracą konkretną*. Wszystkie rodzaje pracy konkretnej mają pomiędzy sobą jeden rys wspólny, wszystkie są zużyciem mięśni, nerwów itd. tj. zużyciem *siły roboczej* człowieka. Stosuje się to zarówno do pracy szewca, krawca, uczonego, itd. Praca ludzka, rozpatrywana z tego ostatniego punktu widzenia, jako prosty wydatek siły roboczej, nazywa się *pracą abstrakcyjną*. Otóż substancyą wartości zamiennej jest właśnie praca abstrakcyjna, ludzka wogóle, nie zaś w tej lub w owej jej konkretnej formie. Prócz tej różnicy między pracą konkretną i abstrakcyjną widzimy jeszcze różnicę między prostą i złożoną. Otóż przedewszystkiem zwrócić winniśmy uwagę, że podług statystycznych danych ilość ludzi zajętych pracą prostą, niewymagającą szczególnego i dłuższego przygotowania, znacznie jest większą od liczby osób zajętych pracą złożoną, wyższą. W sferze wytwarzania ta prosta praca przeważną i główną gra rolę i do niej z łatwością daje się sprowadzić wszelka mniej lub więcej złożona. Figurycznie możemy to wyrazić w sposób następujący: w każdej sekundzie pracy złożonej jest zgęszczonych kilka sekund prostej. W życiu to sprowadzanie pracy złożonej do prostej spotykamy na każdym kroku. Oceniamy zawsze wartość zamienną wytworu złożonej za pomocą stosunku przyrównywającego daną ilość wytworów tej pracy złożonej do pewnej ilości wytworów pracy prostej.

Prócz tych różnic istnieje jeszcze między osobnikami różnica w stopniu zręczności i intenzywności pracy. W każdem jednak społeczeństwie istnieje w danej epoce pewna intenzywność i zręczność przeciętna. Przy porównywaniu rozmaitych społeczeństw przeciętna owa zręczność i intenzywność wyraźnie występują na jaw. Wiadomo np. że robotnik angielski zręczniejszym jest od naszego, że może wykonać w danym przeciągu czasu większą ilość pracy. Substancyą wartości zamiennej jest właśnie praca z owym *społecznie przeciętnym* stopniem zręczności i intenzywności. Na rynku zamiany konkurencya nieubłaganie sprowadza do jednego mianownika wszystkie osobnicze różnice prac.

Substancyą tedy wartości zamiennej jest abstrakcyjna praca prosta w przeciętnym stopniu natężenia i zręczności. Praca ta jednak odbywa się wśród pewnych zewnętrznych warunków społecznych. Warunki te określają *wytwórczość* pracy i tylka praca normalnej wytwórczości uważa się za substancyę wartości zamiennej. Tak np. jeżeli w danem społeczeństwie i w danej epoce *społecznie normalnym* sposobem wytwarzania jest wielki przemysł, pozwalający kombinować pracę i potęgować jej wytwórczość, używający parowych motorów i automatycznych machin, to tylko praca odbywająca się wśród takich warunków uważa się za substancyę wartości zamiennej. Na rynku zamiany konkurencya nie zwraca uwagi na to, że krawiec A, szyjący surdut w ręku, zużywa na wyrób dwa razy tyle pracy, co B, szyjący na maszynie. Wytwór pierwszego, chociaż jest rezultatem dwa razy większej pracy, np. 10 dni, posiada wartość tylko pięciu, bo drugi zużywa nań tylko 5 dni, a tylko wytwarzanie ostatniego odbywa się wśród normalnych warunków społecznych. Pracę konieczną do wytworzenia danego towaru przy danych warunkach społecznych, które wyszczególniliśmy, nazywamy pracą społecznie konieczną. Do rzędu tych warunków, jak nadmieniliśmy, wchodzą i pewne czysto przyrodnicze. Np. w urodzajnym roku 2 korce pszenicy przedstawiają taką samą ilość pracy, co w nieurodzajnym jeden. Praca w pierwszym przypadku jest dwa razy więcej wytwórczą, niż w drugim. Toż samo znajdujemy w bogatych kopalniach dyamentów, porównanych z ubogiemi. Normalna zatem w danem społeczeństwie wytwórczość pracy jest trzecim z kolei momentem przy określeniu substancyi wartości zamiennej.

A zatem, substancyą wartości zamiennej towaru jest społecznie konieczna do jego wytworzenia abstrakcyjna praca ludzka. Albo wyrażając się figurycznie, wartość jest to społecznie konieczna abstrakcyjna praca ludzka. W formule tej słowa „społecznie konieczna“ obejmują tak przeciętny w danem społeczeństwie stopień zręczności i intensywności pracy, jak i owe normalne zewnętrzne warunki, wśród których ona się odbywa. Miarą zaś wielkości wartości zamiennej będzie czas trwania tej społecznie koniecznej pracy. Im więcej jest pracy w danym towarze, tem większą jest jego wartość zamienna. Im bardziej wytwórczą jest praca, tem mniej jej potrzeba dla wyrobienia danego towaru, tem mniejszą będzie jego wartość zamienna. Jak widzimy wielkość wartości zamiennej jest w stosunku prostym do ilości pracy, a w odwrotnym do jej wytwórczości.

Wyczerpaliśmy tu w ogólnych zarysach treść dwu pierwszych paragrafów *Kapitału*, dotyczących substancyi wartości zamiennej i miary jej wielkości. W dalszym jednak ciągu dzieła spotykamy ustęp, którego zgłębienie nasuwa nam pewną wątpliwość co do powyższej formuły. Ustęp ten brzmi:

„Przypuśćmy, że każda sztuka płótna, znajdująca się na rynku, kosztowała tylko czas społecznie konieczny. Jednakże cała suma tych sztuk *) może przedstawiać pracę wydaną zupełnie nadaremnie. Jeżeli żołądek rynku nie może pochłonąć wszystkiego płótna po normalnej cenie **) 2 szylingów za metr, dowodzi to, że zbyt wielka ilość pracy społecznej wydaną została pod postacią tkactwa. Skutek będzie ten sam, jak i wówczas, gdy każdy tkacz oddzielnie zużywa na swój indywidualny wytwór więcej, niż pracę społecznie konieczną. Daje się tu zastosować przysłowie niemieckie: „mitgefangen, mitgehangen.“ Całe płótno będące na rynku przedstawia jeden artykuł handlu, a każda sztuka jest tylko odpowiednią jego częścią.“

Objaśnijmy to na przykładzie. Na rynku w danej chwili potrzeba 1,000 łokci płótna. Tkacze, z których każdy przy obecnym ustroju sam musi sobie określać ilość płótna, jakiej może rynek potrzebować, przywożą 2,000 łokci. Każdy łokieć kosztuje, dajmy na to, 2 godziny społecznie koniecznej pracy i tyleż nań zużył każdy tkacz. Wartość zatem zamienna łokcia płótna równa się 2 godzinom pracy, których też tkacz żąda. Jeżeli, przypuśćmy, wytworzenie $^1/_{10}$ łuta srebra kosztuje 2 godziny pracy, to 1 łokieć płótna równa się $^1/_{10}$ łuta srebra, czyli tkacz żąda za łokieć płótna $^1/_{10}$ łuta srebra (cena normalna). Ale w każdej danej chwili organizm społeczny za pomocą procesu zupełnie niewiadomego dla pojedynczego tkacza wyznacza na daną gałąź społecznego podziału pracy pewną tylko ilość społecznej pracy, np. na tkactwo płótna 2,000 godzin, tj. jeżeli czas społecznie koniecznie potrzebny do wytworzenia 1 łokcia płótna = 2 godzinom, to wypada tyle godzin, ile potrzeba na tysiąc łokci. Tymczasem tkacze, jak wiemy, wytworzyli 2,000 łokci. Ponieważ społeczeństwo określa tylko 2,000 godzin pracy dla utkania płótna, więc na rynku stają obok siebie: 2,000 łokci płótna i wyznaczone przez niewiadomy dla tkaczów proces 2,000 godzin pracy, jako równoważniki. „Żołądek rynku“ — jak powiada Marx — nie może pochłonąć wszystkiego płótna po normalnej cenie ($^1/_{10}$ łuta srebra posiada też samą wartość zamienną co łokieć płótna), wynik jest ten sam, jak i wówczas, gdy każdy tkacz zużywa oddzielnie na swój indywidualny wytwór więcej, niż pracę społecznie konieczną. Jak na wartość zamienną towaru oddziaływa wydanie dla wytworzenia go większej ilości pracy, niż „społecznie konieczna?“ Jeżeli tkacz A czy to przez niezręczność, czy też dla tego, że nie posiada ulepszonego warsztatu, wytworzyć może łokieć płótna w ciągu 4-ch godzin, kiedy czas społecznie konieczny na to wynosi 2 godziny, to wartość owego łokcia płótna, wytworzonego przez tkacza A, równać się będzie 2 godzinom, nie bacząc na to, iż *indywidualnie* dla tkacza A wytwór ów kosztuje 4 godziny. W wyżej przytoczonym ustępie Marx przypuszcza, iż każda sztuka płótna znajdująca się na rynku kosztuje tylko czas społecznie konieczny, tj. w naszym przykładzie 2 godziny. Ale, pomimo to, ponieważ społeczeństwo potrzebuje w danej chwili tylko 2 tysięcy godzin pracy tkackiej, a płótna

*) Dodamy tu: „znajdujących się w danej chwili na rynku.“

**) Normalną ceną towaru nazywa Marx zupełnie odpowiadającą jej wartości zamiennej. Jeżeli np. 20 łokci płótna zawiera tyleż pracy co 2 luty srebra, to normalną ceną 20 ł. płótna będą 2 ł. srebra (albo moneta tyleż srebra zawierająca).

ukazuje się na rynku 2,000 łokci, więc na każdy łokieć wypada 1 godzina, chociaż każdego tkacza kosztował on 2 godziny, tj. czas pracy społecznie koniecznej. Całe płótno, będące na rynku—mówi Marx—przedstawia jeden artykuł handlu, a każda sztuka (więc i każdy łokieć) jest tylko odpowiednią jego częścią, tj. wartość zamienna 1 łokcia płótna będzie się równać nie wedle czasu społecznie koniecznego 2 godzinom, lecz tylko jednej.

Rozbiór przytoczonego powyżej ustępu zdaje się dowodzić, że formuła: *miarą wartości zamiennej towaru jest ilość zużytej nań społecznie koniecznej pracy* jest pod pewnym względem niezupełną. Poprzedni jej rozbiór wykazał, co należy rozumieć pod „społecznie konieczną pracą.“ Sądzimy, że należy jeszcze ją pojmować jako *„ogólną ilość danego rodzaju* pracy potrzebną w społeczeństwie w danej chwili.“ Takie jej pojmowanie odpowiadać będzie rzeczywistemu faktowi, że cała ilość danego gatunku towaru, będąca w danej chwili na rynku, przedstawia jeden artykuł handlu, a każda np. sztuka płótna jest tylko odpowiednią jego częścią.

Ale uzupełniając w ten sposób formułę wartości, przedstawioną przez samego Marxa, całkiem, jak sądzimy, zgodnie z duchem jego teoryi, trafiamy jednocześnie na słaby punkt, podkopujący całą teoryą wartości.

Jeżeli bowiem przytoczony ustęp z *Kapitału* (franc. wyd. str. 45) przełożymy na inny język, to spostrzeżemy, że wartość towaru określa się nietylko przez czas społecznie konieczny do wytworzenia go, ale też przez popyt i podaż. Cóż to bowiem znaczy, że „żołądek rynku nie może pochłonąć całego płótna po normalnej cenie?“ Znaczy to, że podaż płótna przewyższa w danej chwili popyt na nie. A jakiż stąd skutek? Marx odpowiada: „Skutek będzie ten sam, jak i wówczas, gdy każdy tkacz oddzielnie zużywa na swój indywidualny wytwór więcej niż pracę społecznie konieczną.“ T. j. pewna ilość pracy użytej przez tkaczów przepadnie nadaremnie *i w rachubę przy określaniu wartości wziętą być nie może.* Wartość zatem towaru będzie określał ostatecznie nie czas pracy społecznie konieczny do wytworzenia go, ale ta okoliczność, czy żołądek rynku może ów towar w danej jego ilości pochłonąć, czy też nie, a zatem popyt i podaż. Mogą tu przeto mieć miejsce trzy wypadki:

1° albo wartość towaru, określona podług formuły Marxa, będzie niższą od rzeczywistej jego wartości, określanej przy uwzględnieniu popytu i podaży.

2° albo będzie odpowiednią

3° albo wartość towaru, określona w pierwszy sposób, będzie wyższą od rzeczywistej. Ostatni ten wypadek właśnie rozbiera Marx w wzmiankowanym ustępie.

Czy jednak słaba ta strona jego teoryi wartości pozbawia ją wszelkiego znaczenia? Nie sądzimy, iżby tak być miało. Musimy wprawdzie przyznać, iż nie udało się Marxowi zwalić zupełnie panującego przed jego wystąpieniem poglądu, według którego wartość towaru zależy od popytu i podaży, i obie te teorye zostały dotychczas niepogodzone, niemniej jednak wyjaśnienie znaczenia pracy, jako jednego z pierwiastków wartości, pozostanie, wśród wielu innych, trwałą zasługą Marxa w ekonomii politycznej.

Z. P.

LIBERUM VETO.

Zęby naszej biedy. — Ucieczka w filozofii. — Gwałcenie grobów. — Nowy proces z nieboszczykiem. — Najazd Patti i ostrzeżenia. — Zmądrzeliśmy. — Zażegnana burza w Tow. muzycznem. — Brak rękojmi i modlitwa do natury. — Protest. — Upór rębajły.— Typ dziewicy polskiej. — Przyjaciel Rembertowskiego. — Obowiązek polityczny. — Faustyn Świderski.

Bieda nasza dostała już wszystkich zębów, gdyż nawet—zdaje się—ma już i zęby mądrości. Wobec tej jędzy nie można wymagać od ludzi zbyt wielu—cnot. Większość bowiem panów stworzenia zastrzegła to sobie wyraźnie, przychodząc na świat, że nosić będzie moralność w kieszeni pełnej. Z pustej i ten liczman wyrzuca. Jeden zobowiązał się przed losami, że nie popełni żadnego z grzechów głównych przy 1,000 rs., inny—przy 2,000, inny przy 3,000, a jeszcze inny przy 100,000 rocznego dochodu. Zacni ci obywatele dotrzymują zwykle swych obietnic: nie kradną, nie zabijają, nie oszukują; ale niech do pożądanej przez nich sumy los nie dorzuci grosza, zaraz uważają się za zwolnionych od zobowiązań. Znam porządnych gentlemanów, którzy dziś, zarabiając po kilka tysięcy rubli na rok, nie pozostawiają nic do życzenia, a którzy niedawno jeszcze, zarabiając kilkaset, zbyt uważnie przyglądali się cudzym złotym dewizkom. Gdy więc bieda coraz głębiej włazi nam za skórę, trzeba zniżyć miarę moralną, a podwyższyć stanowisko filozoficzne. To stanowisko jest jedyną ucieczką dla zrozpaczonych świadków ludzkiego upodlenia. Bo co robić? Płakać? Szkoda łez. Upominać? Szkoda słów. Najlepiej wznieść się w górę, na szczyty filozofii, i powiedzieć sobie: taka jest natura rzeczy, taka być musi, skoro tak jest.

Obywatel podolski Jelonkowski, umierając, zapisał 53,000 rs. na wsparcia dla kształcącej się młodzieży. Jako mieszkaniec Cesarstwa, z mocy praw tamtejszych, mógł wyłączyć od spadku żonę (dzieci nie miał), która zresztą nie oddała mu nawet ostatniej posługi. Szlachetny filantrop poszedł do grobu bez korowodu krewniakowego, którzy go przecież bardzo kochali, bo wraz z wdową wyciągnęli ręce po ofiarę, złożoną przez niego na ołtarzu dobroczynnym. W drugiej już instancyi prosili sąd o rozdarcie ostatniej woli nieboszczyka—i znowu prosili daremnie. Odprawiono ich z kwitkiem, mieszczącym w dodatku nakaz zapłacenia kosztów procesu. Zamachy tego rodzaju zdarzają się u nas zbyt często, ażeby je można było uważać za wyjątkowe. Nie, gwałciciele grobów mają już swoją tradycyę, swoją śmiałość. Początkowo skradali się pod mogiły bojaźliwie, teraz odkopują je, otwierają trumny i pozywają nieboszczyków odważnie. Publiczność oswoiła się nawet z ich procesami: kto zatruł studnię przez zemstę na współzawodniku, który miał dzierżawę młyna, niech się wstydzi; ale kto usiłuje unieważnić testament zmarłego i przywłaszczyć sobie jego legaty, ten nie potrzebuje spuszczać oczu. Mamyż piętnować tę postać pieniactwa? Albożto nie czyniliśmy? I na co się zdało? Lepiej uciekajmy ze ściśniętem sercem wysoko, na wierzchołki, aż pod chmury filozofii i tam powtarzajmy za Heglem: wszystko co jest, jest rozumnem. Konieczność tak chce, niech się stanie jej okrutna wola. Więc nie przeciwdziałać jej „rozumowi?“ Świętokradzkie ręce sąd odepchnął—a on tylko mógł złemu zapobiedz.

Bieda tedy nasza, pod której skrzydłami wylęgają się różne potworki, dostała—jak rzekłem—zębów mądrości. Patti, którą w przejeździe przez Warszawę daremnie na kolanach kiedyś błagano, ażeby zaspiewała coś na koncercie dobroczynnym, postanowiła wreszcie przyjąć nasz haracz. Wystąpi dwa razy w teatrze i dostanie 12,000 rs. Musi ta przyjemność być nieco za słoną, skoro nawet *Kuryer warsz.* czciciel zapamiętały wszelakiego zbytku i historyk wielkopańskich balów, z boleści rozdarł na sobie szaty kapłańskie. Wyrzutowi jego dyrekcya obłamała główne ostrze wyjaśnieniem, że ona nie sprowadza głodnej rublów śpiewaczki, lecz przedsiębiorca p. Patti podejmuje jej występy na swoje ryzyko, a teatrowi zapewnia tylko 22% od dochodu. Mimo to *Kuryer* ma jeszcze dużo racyi, ostrzegając, że nie należy płacić 150 rubli za lożę, a 70 rs. za krzesło zwłaszcza wtedy, gdy mamy naokoło siebie tyle nędzy. Kiedy cyganie ukażą się pode wsią, jedna baba rzuca drugiej zdaleka ostrzeżenie, a wszystkie zwołują kury, kaczki i prosięta, zamykając je w sieni. Podobnym strachem przejął impresario Patti naszą wieś dziennikarską, która podaje sobie głos *Kuryera.* Czy wszystkie kury, kaczki itd. będą zamknięte podczas przejścia tych cyganów? Wątpię. Wiele sztuk zginie—i może nawet strata wyniesie 12,000 rs. Bądź co bądź, bieda nasza ma zęby mądrości. Pojmujemy już, że napełnianie sakiew wędrownym artystom, choćby najznakomitszym, jest lekkomyślnością, że „pokazywanie się przed Europą“ za drogo nas kosztuje. Wiele już oszczędził ten, kto zrozumiał, że dużo a niepotrzebnie strwonił. Z drugiej wszakże strony, jacy my jeszcze niedojrzali, kiedy prasa musi czuwać nad wydatkami osób prywatnych! Do Pragi czeskiej Patti nie pojedzie, a jeśli pojedzie, nie zażąda 6,000 od występu, a jeśli zażąda, nie dostanie — bez rady dzienników.

Wojna między komitetem Towarzystwa Muzycznego a jego dyrektorem, która przez sobotę i niedzielę odsunęła na dalszy plan powstanie rumelijskie, zakończyła się bardzo zgodnie. P. Leo, przewodniczący zgromadzeniu, ująwszy palmę pokoju, namówił strony poważnione, ażeby zachowały między sobą wzajemne pretensye, przebaczyły sobie urazy i wróciły do wspólnej pracy. „Interpelacya“ tedy, mająca wyjaśnić przyczyny starcia, spełzła na niczem—nie dała widowiska. Ale czy osiągnięto rękojmię harmonii na przyszłość? Wątpię. Naprzód p. Noskowski, będąc zdolnym artystą, jest podobno bardzo niezdolnym politykiem: wybornie ludzi odstrasza, ale słabo wabi, i ani czapki, ani papki używać nie umie. Powtóre wszyscy dyrektorzy Towarzystwa muzycznego szybko powszednieli i obrzydzali się, wszystkich wysadził w powietrze nasz tradycyjny dynamit, który dawniej nazywał się konfederacyą, a dziś — intrygą. Przedmiotem szczególnej naszej nienawiści i odrazy są ludzie pracujący z wyboru, a nie z nominacyi. Kiedy jeszcze zasada elekcyi panowała w teatrze — pamiętamy, ile to plag otrzymywali reżyserowie. Zanim bliżej poznałem stosunki warszawskie, byłem przekonany, że u nas na rozmaite urzędy prywatne wybierane są najczarniejsze w piekle dyabły. Dziś już wiem, że to tylko poczciwcy — usmoleni. I p. Noskowski usmolony jest należycie. W niedzielę umyto go, ale nie na długo. Maluczko, a w Towarzystwie muzycznem znowu wyskoczą: „scysya,“ „secesya,“ „kolizya“ i inne czarownice, tańczące około wiecznie dymiącego się kociołka. Więc co zrobić? Zanieść do natury następującą modlitwę: matko, która nam dałaś tyle przymiotów, daj jeszcze jeden: zdolność organizowania się, pracy stowarzyszonej, karności; niemcy, francuzi, anglicy, żydzi — nie pokonają nas na osobnika, ale dwu zwycięży tysiąc nas, bo zaraz zaczniemy bić się między sobą; matko naturo spraw, ażeby trzech, pięciu lub dziesięciu polaków we wspólnem przedsięwzięciu nie wodziło się ustawicznie za czuby.

To jest jedyna rada, mogąca, według mnie, uratować Towarzystwo muzyczne i wszystkie inne towarzystwa, aż do tego, które obejmuje nas wszystkich. Wtedy i p. Noskowski będzie pożytecznym, i komitet mu dołu nie wykopie, i każdy swój pług znajdzie. Tymczasem kitujmy rysy i pęknięcia — jak to uczynił p. Leo.

Zeszłotygodniowe uwagi moje o wydawnictwach obrazkowych wywołały protest ze strony interesowanej. Pouczono mnie: 1) że niemiecka *Zukunft*, wyrzucając nam trawienie polskich rysunków w Wiedniu i wnioskując stąd o upadku sztuki polskiej, wskazała dziurę w całem, gdyż owo trawienie niema żadnego związku ze sztuką; 2) że drzeworytnictwo nasze postępuje ciągle; 3) że Matejko, żądając bajecznego wynagrodzenia za swe rysunki (2 złr. za cal), uniemożliwia wydawcom nabywanie ich; 4) że u nas jest nadmiar pism ilustrowanych (więcej niż w Niemczech!) i 5) że one nie posiadają środków, jakimi rozporządzają zagraniczne, wysyłające rysowników na pole bitew, do odległych krajów itd. Gdyby nawet to wszystko było słusznem (a zwłaszcza co do wartości naszego drzeworytnictwa i rysownictwa słusznem nie jest), mój rębajło któregoby zdanie poprzednio przytoczyłem, pozostanie nieprzekonanym i niezadowolonym. On chce (rębajłów liczyć można na tysiące, a wszyscy są żonaci i dzietni) pisma, któreby mu obrazowało chwilę bieżącą, stanowiło ilustracyę do dzienników. Nazwijmy go gapiem, gawronem, ciekawskim, niemającym zmysłu artystycznego, on nie przestanie powtarzać, że bardziej go zajmuje widok ogłoszenia unii bulgarsko-rumelijskiej, niż spichlerz w Kazimierzu. Wypadki bieżące pragnie oglądać w rysunku. Takich gapiów są zagranicą miliony i dla nich, głównie dla nich wychodzą ilustracye, które u nas są albumami sztuki lub archeologii, no i przybytkami literatury. Dalej sporu w tym przedmiocie nie wiodę, bo musiałbym gust przeciwstawić gustowi, a to według reguły do niczego nie prowadzi. *Tygodnikowi powszechnemu* podobał się niezmiernie „Typ dziewicy polskiej" W. Gersona, odznaczony przezeń nagrodą, a mnie się wcale nie podobał ani jako „typ," ani jako „dziewica polska," ani jako rysunek. Ale gdybyśmy nawet zwołali sobór i bronili przed nim swych gustów—na nic by się cała ta rozprawa nie zdała.

Kronice hańby przybył nowy bohater: dyrektor filii Banku polskiego w Włocławku, Krzeczkowski, który skradłszy 80,000 rs., wyjechał do... Rembertowskiego. Nie twierdziłem nigdy, że my jesteśmy od innych społeczeństw lepsi i uczciwsi, ale godzę się z naszym sentymentalizmem, że powinniśmy być od innych lepsi i uczciwsi. Jest to bowiem nasz obowiązek nietylko moralny, ale i polityczny. Złodziejstwa kasyerów i dyrektorów bankowych są bardzo powszechne i zdarzają się we wszystkich krajach. Jednego roku skradziono na tej drodze w samej Rosyi 17,000,000 rs. Ów więc Krzeczkowski nie jest złodziejem wyjątkowym, a nawet w porównaniu z innymi posiada dość mały kaliber. Mimo to jaką on nam szkodę wyrządził, dopuściwszy się zbrodni w ostatnich chwilach Banku polskiego, którego likwidacya wykazywała dotąd, że polskie ręce gospodarowały w tej instytucyi uczciwie!

Ach, mości Krzeczkowski, gdziekolwiek jesteś, kup sobie co prędzej rewolwer.

Nie pierwszy to raz łotr się rodzi, a poczciwy umiera. Gdy dyrektor filii włocławskiej gotował się do przestępstwa, w Mzurowie skonał „ex-bocian," Faustyn Świderski. Był to prawdziwy poeta szlachecki. Jego muza wyśpiewała wesołym tonem wszystkie kłopoty i roskosze, smutki i radości wiejskiego szlachcica — a śmiała się, nie sznurując ust, lecz całem gardłem, głośno i hucznie. Naturalnie w śmiechu tym odbijała się coraz bardziej rzewna nuta doli naszego ziemiaństwa, tak, że Świderski z humorysty stawał się elegistą. Już żydek, ssący obywatela lichwą, już chłopek trapiący go służebnościami, już kupiec zbożowy, obniżający cenę „par," nie występowali w wierszach „ex-bociana" jako muchy brzęczące koło łysej głowy zadowolonego szlachcica, ale jako kruki, unoszące się nad poległym. Świderski dużo narymował przeciwko postępowi, bezbożności i tym podobnym „chorobom wieku," ale strzały swoje maczał w sercu i dla tego ich nie zatruwał. Zmarł na roli, którą czcić umiał.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasze dziennikarstwo prowincyonalne. — Żale *Korespondenta płockiego.* — Rola dobroczynności. — Życie prowincyi. — Pesymizm *Tygodnia.* — Walka z „dziadami." — Przyczyny drzemki. — Sprzedaż posiadłości włościańskich.

„Zapoznawać potrzebę organu gubernii Płockiej—byłoby to równoznacznem zapoznanie istnienia miejscowej inteligencyi, życia prowincyi i jej potrzeb"—mówi *Korespondent płocki*, któremu „rozwijające się w czytelnikach coraz bardziej uczucia sobkowstwa, bezmyślnej obojętności na własne dobro" kazały zmniejszyć format do bardzo skromnych rozmiarów. W innych miastach pismom powodzi się lepiej, gdyż „wszędzie w tym celu spotykamy ofiarność moralną i materyalną, płynącą z poczucia tej prawdy, że podtrzymanie organów publicznego pożytku jest zarazem najlepszą obroną własnych osobistych interesów." Stajemy więc tutaj wobec walki dwóch sił nierównych: z jednej strony mamy „wzrastającą ciągle bezmyślną obojętność," z drugiej—gazetę, która przez skromność nazywa siebie „organem publicznego pożytku"—i napróżno wyczekuje „moralnego i materyalnego w tym celu poparcia." Na barki dobroczynności zbiorowej i osobistej dziennikarstwo nasze wkłada cały ciężar, jakiemu podołać nie może skrzypiąca i łamiąca się co chwila machina społeczna. Żebraninę podnieśliśmy niemal do godności programu politycznego. Jałmużny uznania i pochwał oczekuje u nas każdy szlachcic, któremu udało się dobrze spieniężyć pszenicę, jałmużną zachwytów raczy się obywatel za pożyczenie sąsiadowi stu rubli, jałmużną uwielbienia nagradzamy fabrykanta, gdy pracowników swych nie obdziera ze skóry; nic też dziwnego, że znaczna część naszych gazet śmiało ucieka się do „ofiarności moralnej i materyalnej," że lada pisemko nieudolnie redagowane nadstawia, co wtorek lub piątek, swoją miseczkę i prosi o „poparcie." W samej Warszawie pism takich, żyjących już to z łaski jakiegoś prezesa, już dzięki sowitym zasiłkom „na liberyę," już przy pomocy dobrze płatnych ogłoszeń Tow. kredytowego, mamy kilka. Jaki jest ich pożytek—wiedzą o tem ci tylko, którzy nie przestają „łożyć" i „popierać." Ogół czytelników z celem tych nakładów nie ma nic wspólnego. Z drugiej jednak strony, kto zna życie naszej prowincyi, musi przyznać, że rozbudzenie w niej ruchu umysłowego — należy do czynów bohaterskich. Ma ona dziwną jakąś moc usypiającą. Ludzie, którzy po ukończeniu nauk uniwersyteckich oddają się tam rozmaitym zawodom, z niepojętą łatwością popadają w stan zniechęcenia: jeżeli jakieś przedstawienie amatorskie, lub turkot straży ochotniczej spokoju im nie zakłóci — natenczas nie kończące się nigdy ćwiczenia preferansowe pochłaniają całą ich działalność. Nic też dziwnego że *Korespondent płocki* i inne pisma prowincyonalne utrzymać się o własnych siłach nie mogą. W każdym jednak razie nie do „ofiarności" publicznej lub prywatnej uciekać się należy, a nadewszystko nie trzeba szukać lekarstwa w wyrzekaniach na „wzrastające sobkowstwo." Pomijam pospolitość i bezzasadność takich utyskiwań *)— są one kamieniem potępienia dla samegoż pisma. Skoro bowiem sobkowstwo się wzmaga, to dziennik, czyniący zadość czyimkolwiek potrzebom, powinien coraz szerszą znajdywać poczytność. Numer *Korespondenta* „z żalami" odznacza się wyjątkowym doborem pożytecznych wiadomości prowincyonalnych; ale o dawniejszych numerach powiedzieć tego nie można. Najmniej rozwinięte „sobkowstwo" nie znajdywało w nich często zaspokojenia żadnej ze swoich potrzeb: opowiadania o jeleniu, „wpadającym w opłotki i... w niewolę," powtarzane zresztą skwapliwie przez wszystkich reporterów warszawskich, zadowolnić mogą ciekawość takich tylko ludzi, dla których życie poza preferansem i polowaniem—jest „tajemnicą i niezbadaną zagadką." Tacy żadnego pisma nie potrzebują.

Zaraza pesymizmu udzieliła się innemu jeszcze z naszych dzienników prowincyonalnych—*Tygodniowi.* Przyczyną objawu jest tu jednakże nie *brak*, ale *nadmiar dobroczynności.* Organ inteligencyi piotrkowskiej wypowiedział walkę miejscowym... żebrakom. Idzie o to, iż, zamiast dawać im marki taniej kuchni, publiczność darzy ich po dawnemu i wbrew powziętym postanowieniom — pieniędzmi. „Zaprawdę, jeśli mamy sobie czynić igraszkę z własnych postanowień, z każdego szlachetnego usiłowania, ku dobru powszechnemu zmierzającego, jeśli mamy lekceważyć każdy krok lub myśl poważniejszą dojrzalszych społecznie jednostek, jeśli mamy przedrwiwać własne czyny, to czy nie lepiej będzie skoro się ubierzemy w czapki z dzwonkami i rozpoczniemy stałą, całe życie trwającą maskaradę? W takim stroju wolno nam będzie drwić ze wszystkiego, wolno nam będzie czynić postanowienia jak najświętobliwsze, śmiać się z nich jednocześnie, pozować na ludzi poważnych dla rozśmieszenia gawiedzi" itd. Po oswobodzeniu piotrkowian z błazeńskich masek, jakie im *Tydzień* ofiaruje, zaznaczyć musimy, iż wystąpieniem swem pismo to dotknęło istotnie bolącej i upartej rany naszego charakteru narodowego. Brak poszanowania dla postanowień zbiorowych, lekceważenie własnych nawet poglądów— są to cechy, które byt nasz podkopywały zawsze, a dzisiaj—w braku odpowiedniej szkoły życia obywatelskiego—rujnują coraz bardziej. Dla tego też wszelkie odwoływania się pism do naszej *solidarności* smutne robią wrażenie. *Tydzień*, zniechęcony potrzebą „czapek," całą również w tej naszej cnocie pokłada nadzieję, gdy mówi o walce przeciwko prusakom. „Gdybyśmy się mogli poszczycić energią i solidarnością taką, jaką niegdyś okazały Włochy w stosunku do Austryi, a dziś Hiszpania w zatargu o Karoliny—do Niemiec, postąpilibyśmy może tak, jak radzi jeden z naszych korespondentów: każdy z nas powinien o ile możności obywać się bez tego wszystkiego, co niemieckie, w tym celu żadnych trunków niemieckich nie pić, żadnych frykasów niemieckich nie jeść, w sukniach ani tkaninach niemieckich nie chodzić, towarów w sklepach niemieckich nie kupować i wogóle żadnych stosunków handlowych z niemcami nie zawiązywać, a natomiast protegować wszystko, co polskie." Że wykonanie takiego programu jest możliwem — dowodzą tego węgrzy, gdzie kiedyś przez *8 lat nie wypalono umyślnie* ani jednego cygara lub papierosa austryackiego... Jeżeli polscy oszuści nie zechcą robić dobrych interesów na patryotyzmie, to uczucie to przyczyni się może do

*) Wyrzut *Koresp. płockiego* wydaje nam się dość słusznym; w poprzednim numerze *Prawdy* zaznaczyliśmy objaw malejącego czytelnictwa. *Red.*

podtrzymania naszej solidarności obywatelskiej.

Przyczyn zniechęcenia i bezczynności nie zawsze jednak w naszym charakterze narodowym szukać należy. Skarga na złe czasy coraz częściej i coraz boleśniej się rozlega, a głos jej nie zawsze nasze własne winy z piersi nam wydzierają. Od takich czynników zewnętrznych zależy też prawdopodobnie słaby stopień energii, z jaką mieszkańcy Lublina biorą się do założenia swej instytucyi kredytowej. Mówiąc kwiecistym, choć nie zawsze poprawnym językiem *Kuryera codziennego*, główną takiej ospałości przyczyną jest „spadek temperatury do zera na termometrze gorączki budowlanej. Wielość niezajętych większych mieszkań w mieście, a stąd konieczność obniżenia czynszów za lokale, brak napływu ludności do miasta—to są powody, z przyczyny których w tym czasie towarzystwo kredytowe miejskie nie posiada tylu szans, jak się zdawało poprzednio."

Gazeta warszawska, której losy każą być „grabarzem" większej własności ziemskiej, w jednym z ostatnich numerów podaje, obok szeregu „wystawionych na sprzedaż" Wólek, smutną wiadomość o upadku i licytacyi aż 24 gospodarstw włościańskich. Przyczyną tego zjawiska jest brak taniego kredytu dla chłopów i lichwiarskie procenty. Jeżeli szkodliwem jest dla nas pozbywanie się „przodowników," najczęściej niezaradnych, to o ileż groźniejszą się wydaje przyszłość, kiedy i przodujących i tych, którym przewodzić mamy—zabraknie.

J. Nieborski.

Z Nakwasina *Kur. warsz.* otrzymuje następujące doniesienie o zjeździe ziemian wyszogrodzkich.

„Zapowiedziane posiedzenie odbyło się w dniu 1-ym b. m., przy udziale czterdziestu kilku obywateli, przedstawiciela władzy powiatowej, oraz kilku reporterów pism warszawskich. Po zebraniu się zaproszonych rozpoczęto próby z narzędziami rolniczemi, poczem zgromadzeni przystąpili do obioru przewodniczącego, którym okrzyknięto najpoważniejszego w okolicy agronoma, Pilichowskiego, właściciela dóbr Sobanica. Według programu rozpraw zebrani obywatele, mając na względzie dobrobyt ogólny i rozwoj ekonomiczny ziemi wyszogrodzkiej, skreślić mieli postulaty, jakimi na tem i następnych zgromadzeniach zajmować się będą. Miejscem przyszłych zebrań będzie Wyszogród lub wsie pobliskie. Na pierwszym planie postawionem zostało wynalezienie środków utrzymania bezpośredniego stosunku pomiędzy stroną produkującą a konsumentami bez udziału osób trzecich; wejście w stosunki z domami zbożowymi w Gdańsku i Królewcu; ustanowienie stacyi inwentarzy rozpłodowych; nabywanie machin i narzędzi rolniczych oraz nasion zbożowych i warzywnych do siewu z pierwszej ręki; wejrzenie w stosunki służbowe pod względem zaopatrywania oddalających się w odpowiednie świadectwa; zaprowadzenie w Wyszogrodzie księgi zapotrzebowań i zaofiarowań; rozpowszechnienie do uprawy ziemi wieloskibowców, mających w reformie pracy mechanicznej wielką przyszłość; zastosowanie praktyczne narzędzi w odpowiedniej glebie, a wreszcie kwestya szarwarków.

Poza tym programatem w ożywionej dyskusyi zrobiono wniosek o podanie do rządu prośby o przeprowadzenie telegrafu przez okolicę i urządzenie stacyi w Wyszogrodzie. Zgodzono się także wnieść projekt przeprowadzenia szosy po nadwiślu od Zakroczymia na Wyszogród i Bodzanów do Płocka. Dwa te ostatnie desiderata (sic) naczelnik powiatu, pan Łabudziński, wpływem swoim z urzędu poprzeć obiecał.

Następnie zebrani podaniem dłoni zobowiązali się przyjść z pomocą rodakom z granic pruskich usuniętym, tudzież nie powierzać żadnej roboty majstrom, ani rzemieślnikom niemieckim. Wreszcie wnioskowano, aby w Prusiech nic nie kupować i kraj ten, o ile możności, w podróżach pomijać. W końcu postanowiono przystąpić gremialnie do stowarzyszenia wzajemnego ubezpieczenia od ognia.

Czemu ludzie wierzą. *Gazeta Radomska* opowiada następującą bajkę „prawdziwą". „Mieszkańcy Radomia pp. W. i S., zapaleni Nemrodzi, polując razem na terytoryum jednej z pobliskich wiosek, prawie jednocześnie zabili dwie samice, obie matki, lecz macierzyństwo jednej z nich nie było jeszcze faktem dokonanym (?). Zabójcy, jak zwykle, wyjąwszy wnętrzności, trofea swe oddali furmanowi i poszli dalej szukać szczęścia. Tymczasem furman z nudów przedsięwziął badania fizyologiczne. Zaledwie jednak rozpruł wnętrzności, aliści *wyskakują* z nich dwa zupełnie zdrowe i rześkie zajączki. Dalejże za niemi w pogoń — pochwyconych więźniów osadził w bryczce. Ale nie tu jeszcze koniec nieprawdopodobieństw. Zajączki po chwili zdawały się omdlewać. Furman wyciągnął stąd wniosek, że muszą być głodne. Ale jakże i czem je nakarmić? Wpada jednak do głowy po rozum i znalazł tam radę skuteczną, bo sierotki, przysadzone do martwej piersi matki, z apetytem wysysały z niej reszki śmiertelnego pokarmu. Jakiż straszny to dramat, tem straszniejszy, że od początku do końca *najzupełniej prawdziwy*! Zajączki te bowiem już tydzień żyją, i prawdopodobnie żyć będą, gdyż losem pogrobowców zajęły się litościwe córki jednego z morderców, otaczając ich troskliwą opieką."

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 października.

Położenie rzeczy na samym półwyspie Bałkańskim nietylko nie uległo w ciągu ubiegłego tygodnia żadnej zmianie ku gorszemu, lecz nawet polepszyło się na pozór, gdyż ruch albański stłumionym został w zarodzie, a konferencya posłów w Konstantynopolu doszła nareszcie do skutku. Powtarzamy jednak, iż polepszenie to jest tylko pozornem, a rzeczywiście niepokój nie ustąpił, gdyż obok współzawodnictwa drobnych państewek słowiańskich, szamocących się jeszcze za życia spadkobiercy o spodziewaną po nim spuściznę, wystąpił antagonizm mocarstw europejskich, opiekunów, z których każdy tego tylko pupila popierać pragnie, którego ma nadzieję w przyszłości poprowadzić na pasku własnych interesów.

Najwyraźniej przejawia się sympatya Austryi ku Serbii, związanej kolejami i traktatem handlowym. Półurzędowy telefon wiedeński *Fremdenblatt*, wygłasza bez żadnych zastrzeżeń, że zbrojenie się Serbii jest zupełnie usprawiedliwionem, a patryotyzm jej prawdziwie budującym; *Politische Correspondenz* zaś dodaje, „że monarcha i rząd serbski silni zaufaniem narodu postanowili słusznie bronić wielkiej sprawy interesów państwa." Mowa króla Milana przy otwarciu skupczyny, domagająca się przywrócenia dawnych stosunków lub nagrody, odpowiadającej zwiększeniu się Bułgaryi, jest tylko słabem echem szowinistycznych okrzyków, brzmiących w Wiedniu na cześć i chwałę królestwa serbskiego. Na platonicznych zapewnieniach przyjaźni Austrya nie poprzestała. Landerbank wiedeński pospieszył z pożyczką 12 mil. guldenów, a nie uczyniłby tego zapewne bez poważnej rękojmi ze strony rządu.

Inne państwa na półwyspie Bałkańskim, nie mając tak potężnych poręczycieli, z trudnością zwalczają finansowe przeszkody, i przy braku „nervus rerum" nie są wstanie tak energicznie uruchomić wojsk, jakby sytuacya polityczna tego wymagała. Grecya wprowadzeniem przymusowego kursu papierowych pieniędzy zniewoliła dopiero bank narodowy w Atenach do pożyczenia 44 milionów drachm. Turcya skromnie tylko zapytuje Bank ottomański, czyby nie zechciał jej dać 400,000 funtów, a Bułgarya nie zwraca się nawet do nikogo, bo wie z góry, że nikt jej nie pożyczy; zatyka więc dziury w budżecie wojennym dobrowolnemi ofiarami mieszkańców. Długo jednak łatanina taka trwać nie może, wobec smutnego faktu, że utrzymanie dziennie armii na stopie wojennej kosztuje 600,000 franków. To też książe Battenberski, który w ostatnich czasach złożył tyle dowodów samodzielności, dał wkońcu za wygraną i szuka poparcia u rządu rosyjskiego. Wysłana w tym celu do Kopenhagi deputacya została przez Najjaśniejszego Pana przyjętą, z czem jednak odeszła, trudno wiedzieć.

Tymczasem odbyło się już pierwsze posiedzenie konferencyi w Konstantynopolu. Postanowiono przedstawić sułtanowi memoryał, o treści którego otrzymaliśmy dwa sprzeczne zupełnie doniesienia. Według jednego posłowie europejscy doradzają sułtanowi, aby na połączenie się Bułgaryi z Rumelią przyzwolił, podług drugiego upoważniają go do poszukiwania praw swych siłą oręża. Która wersya okaże się prawdziwą? Widocznem jest tylko, że nikt nie ma wiary, by na tej drodze zawikłania obecne mogły być rozplątane, gdyż ze Smyrny przybywa do portu Pirejskiego okręt „Wenus." Rosya wysyła tamże trzy okręty, Austrya cztery, Włochy posłały już do Sycylii 18 batalionów piechoty, które w każdej chwili na statki wsiąść mogą, a nawet Turcya nareszcie zdecydowała się uruchomić armię, skupiła swe siły pod Mustafa na granicy rumelijskiej i powierzyła naczelne dowództwo Muchtarowi i Osmanowi.

Jednocześnie w życiu wewnętrznem Francyi zaszedł fakt tak olbrzymiej doniosłości politycznej, iż wobec niego blednieją nawet jaskrawe epizody ruchu słowiańskiego na południu Europy. W wyborach w d. 4 października zwyciężyli monarchiści. Na 176 deputowanych kierunku monarchicznego wybrano tylko 137 republikanów. Zwycięstwo monarchizmu nie jest stanowczem, gdyż w 226 miejscowościach będą jeszcze wybory dopełniające, podczas których mogą się szale na stronę rzeczpospolitej przechylić, lecz słaba to nadzieja, gdyż zwykle wybory dopełniające idą w kierunku wytkniętym w pierwszych dniach ruchu. Powodzenie podwaja siły zwycięzców, a klęska osłabia energię zwyciężonych, nie mówiąc już o masie wyborców bez stałych przekonań politycznych, którzy oddają głosy swe partyi, mającej nadzieję zawładnięcia sterom rządu. Nawet republikańskie gazety obliczają ilość monarchistów w przyszłej izbie na 220. Obliczenie to bardzo optymistyczne, gdyż oparte na przypuszczeniu, że podczas wyborów dopełniających monarchiści na każde pięć wyborów raz tylko odniosą zwycięstwo.

Przyczyn klęski republikanów nie możemy tu szczegółowo badać. Zaznaczymy tylko, iż doszła ona do takich rozmiarów właśnie wskutek wprowadzenia owego głosowania z listy, na które oportuniści tyle liczyli. Jeszcze nigdy doktryneryzm polityczny tak sromotnej nie doznał porażki. Najważniejsze reformy społeczne odkładano na bok, było tylko przedewszystkiem przeprowadzić ową reformę wyborczą, na której byt rzeczpospolitej miał się oprzeć. Reforma weszła w życie i odwróciła się ostrzem przeciw tym właśnie, którzy je ku przeciwnikom swym skierowali.

ZWIERZYNIEC WARSZAWSKI.

Obawy nasze wyrażone przy założeniu zwierzyńca warszawskiego, niestety, sprawdziły się: dowodziliśmy wówczas, że kapitał zakładowy jest zbyt mały, i przepowiadaliśmy, że wobec tego znany zapał publiczności warszawskiej do rzeczy nowych, i również znana obojętność dla starych mogą wstrzymać rozwój pożytecznej instytucyi a nawet nią zachwiać. Przed kilku dniami jeden ze współwłaścicieli zwierzyńca, p. J. Kamiński potwierdził to w *Kuryerze warszawskim.* Pomijając drogę miłosierdzia, obliczył on, że gdyby wszyscy warszawiacy, posiadający pewien stopień ukształcenia, zwiedzili ogród, złożyliby brakującą sumę. Odezwa o tyle podobno poskutkowała, że nazajutrz sprzedano biletów więcej, niż zwykle. Dochód ten nie pokrył naturalnie żądanej sumy, ale to było do przewidzenia.

W tej chwili kwestya przedstawia się tak: grono ludzi złożyło swój kapitał w przedsięwzięcie, które utrzymać się i rozwinąć nie może; przedsięwzięcie to, chociaż czysto prywatne, posiada wielką wartość publiczną; ani od miasta, ani od państwa pomocy nie oczekuje — cóż więc jego kierownicy mają uczynić, ażeby je uratować? Zrobiono stół o trzech nogach, któremu brak czwartej i który się przewraca; kto obowiązany tę czwartę nogę dorobić? Zapukalibyśmy do bogatych kas ogniotrwałych, gdyby one pod zaklęciem dobra ogólnego otwierały się; ale to nadzieja zawodna. Zwierzyniec nie jest „kokosowym“ interesem, nie jest złotą miną, kapitał więc nie rzuci się w jego objęcia. Pozostaje więc jedyna rada p. J. Kamińskiego, ażeby każdy, odczuwający potrzebę takiej instytucyi złożył swą drobną ofiarę nie darmo, lecz za przyjemność i korzyść obejrzenia zoologicznego zbioru. Ile Warszawa posiada dzieci—nie wiemy, ale gdyby staranniej wychowywane zwiedziły z rodzicami ogród, jego zarząd osiągnąłby znaczną zapomogę, a młodzi goście odnieśliby wielki pożytek. A przecież to dla dzieci nieoceniona szkoła nauki poglądowej. Czemu słowa i uczucia nasze tak szybko wietrzeją! Pod wpływem odezw i namów pójdą nazajutrz do zwierzyńca tłumy, drugiego dnia setki, trzeciego dziesiątki, czwartego jednostki — ciekawych! I w tym wypadku jak we wszystkich innych zło tkwi w prędko wybuchającym i gasnącym zapale, który niczego nie ogrzewa trwale, w niedostatku popędów, przekonań i przeświadczeń stałych. Gdybyśmy mogli bodaj kilka lat z rzędu i nieprzerwanie popierać jakąś instytucyę, nie byłoby w naszem życiu społecznem tylu świeżych ruin. Założenie zwierzyńca środkami prywatnymi graniczyło w naszych stosunkach z bohaterstwem. Niepodobna odmówić jego twórcom męstwa w walce z przeciwnościami. Pomimo szczupłych zasobów, pomimo obojętności publicznej, idą oni na przebój, wytężają swe siły, sprowadzają coraz nowe okazy i ratują ogród od upadku. Mamyż spokojnie przypatrywać się tym zapasom? Mamyż dopuścić, ażeby zginęła — już nie powiemy pewna suma pieniędzy — ale pożyteczna instytucya? Gdyby ktoś zaopatrywał nas tylko w czyste i zdrowe mleko, zasługiwałby na poparcie, a cóż dopiero mówić o zakładzie takiej doniosłości, jak zwierzyniec! Może to właśnie jest chwila, która daje nam do wyboru: albo utrzymać ogród zoologiczny, albo poprzestać na... chromolitografowanych atlasach zwierząt.

Tak, pradziadowie nasi nawet atlasów nie mieli i byli... zdrowi, ale też ich synom mózg w tem zdrowiu szczególnie się nie rozrósł. Trzeba go zasilać — nietylko szkołą, książką, ale także badaniem natury w jej żywych tworach.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta warszawska robi bardzo pouczające zestawienie.

„Przed miesiącem Wielka Opera paryska, czy też rozmaici amatorowie muzyki zwrócili się do znanego nam dobrze tenora Masiniego, by przyjechał do Paryża na pewną liczbę wystąpień. Masini nie posiada sławy pani Patti, ale zajmuje dziś niezmiernie wysokie, prawie wyjątkowe miejsce między tenorami. Odpowiedział, że gotów przyjechać, jeżeli mu zapłacą 15,000 fr. za wieczór. 15,000 fr., według dzisiejszego kursu, równa się prawie 6,000 rs. Cóż zrobili paryżanie? Oto uznali, że to *dla nich za drogo*, i podziękowali p. Masiniemu. W dodatku dzienniki niektóre wyśmiały go, a inne poważniejsze wykazywały, że podobna przesada żądań aktorskich jest symptomatem oryginalnym wprawdzie, ale niewróżącym nic dobrego. Aktorowie dochodzą do takiej zarozumiałości, gdyż są psuci przez społeczeństwo, to zaś psuć ich swem uwielbieniem chorobliwem zaczyna, gdy jest w upadku. Co zrobi nasza publiczność z przedstawieniami pani Patti? Czy rozsądek raz przecie przemoże nad próżnością? Zwracamy tylko uwagę, że Paryż ma 2,400,000 ludności, że zwykle zamieszkuje w nim do 100,000 cudzoziemców w znacznej części bogatych: a przynajmniej rozrzucających pieniądze, że dalej liczy także kilka tysięcy kokotek, wydających rocznie po 100 i więcej tysięcy franków, że sam uczciwy i pracujący Paryż ma wielkie pieniądze, że produkcya roczna tego jedynego w swym rodzaju miasta oceniana jest na *dwa miliardy franków*, że teatr, który zapraszał Masini'ego jest dwa razy większy i dwa razy więcej mieści publiczności od naszego, daje zaś po zwykłych cenach sześć do siedmiu razy więcej dochodu... A jednak podziękowano p. Masiniemu za łaskę. Dla czego? Bo się obawiano, że w Paryżu, pomimo mnóstwa niezdrowych żywiołów, publiczność jeszcze ma rozsądek...“

Gazeta kielecka podaje treść przemowy, którą gubernator radomski p. Tołoczanow wystosował do mieszkańców gminy Chlewiska, pragnących przesiedlić się na Syberyę. Zachowanie się mas ludowych podczas tej konferencyi tak dosadnie charakteryzuje krążące wśród ludu pojęcia, iż przytoczymy opis całej tej sceny bez skróceń.

„Przybycia p. gubernatora oczekiwało około 2,000 ludzi, zwołanych z rozporządzenia władzy przez właściwych wójtów i sołtysów.

Podziwiać należy anielską cierpliwość p. gubernatora, z jaką przemawiał do ciemnej, zbałamuconej, niedowierzającej nikomu i upornej rzeszy...

Konferencya ta trwała pięć kwadransów, lecz wątpić można, czy setną nawet część słuchaczy przekonać zdołała...

P. Tołoczanow wyraźnie, powoli, dobierając najprzystępniejszych słów, tłómaczył tłumowi, że mylnie byli poinformowani w sprawie przesiedleń, że żadnych zapomóg rząd nie wydawał i nie wydaje, i że wszelkie starania zostaną bez skutku. Udając się „na osiedlenie do Syberyi“ potrzeba posiadać na samą podróż nie dziesiątki, ale setki rubli; przybywszy na miejsce i dostawszy grunt, potrzeba mieć na lat kilka własne środki utrzymania, zanim ziemia, zroszona krwawym potem oracza, wyda plon niezbyt obfity.

Człowiecze nierozważny — przemawiał p. gubernator — czy wiesz ty, co to są te zimne kraje, puste obszary? Tam mróz cię ubezwładnia. Zatęsknisz do powietrza ojczystych stron, zatęsknisz do dzisiejszej biedy, która ci słodką i drogą będzie. Czyż mało macie dowodów, gdy niektórzy z pomiędzy was przed rokiem wyemigrowawszy, o żebraczym kiju tułają się po rosyjskich miastach i dojść do celu nie mogą?

Przekonywające te słowa, odbijały się jak od twardej opoki. Przez tłum przebiegały prądy rozczarowania, goryczy, to niechęci. Od czasu do czasu odzywały się śmielsze głosy.

— Cóż to, mało ziemi jest w Chlewiskach i Niekłaniu!

— Cóż to kraść trzeba, aby się tam dostać.

P. gubernator w długiej znów przemowie wyjaśniał, że co było do rozdania, to już podzielono, i przypomniał słowa Najjaśniejszego Pana, wyrzeczone do wójtów w czasie koronacyi, oraz pytał, czy im były powtórzone; wkońcu zalecił surowo, aby żaden wójt nie poważył się wydawać karty kwalifikacyjnej do pasportu, dopóki pragnący przesiedlić się nie wykażą odpowiednich środków, nietylko na odbycie dalekiej podróży, lecz i zagospodarowanie domowe.“

PRASA ROSYJSKA.

Petersb. Wiedomosti stale już są niezadowolone z wypadków bułgarskich. Zamieszczają one artykuł p. t. „Polityczny teatr maryonetek,“ w którym czytamy:

„Berlin milczy, Petersburg milczy do kwadratu; Londyn jakby oczy zmrużył i uszy zatkał bawełną; Paryż jeszcze ani jednej „szansonetki“ nie urodził, Austrya schowała się za Serbię, niby za parawan. Ale za to w miejsce Bismarków, Gladstonów, Salisburych i innych mniej więcej wielkich ludzi, występować zaczynają na scenę europejskich wydarzeń coraz nowe figury trzecio i czwartorzędnego znaczenia. Nie ma Germanii, nie ma Rosyi, ani Anglii, ani Austryi. Ale jest... Serbia, bardzo wiele Serbii, jest Bulgarya, Grecya, Węgry, Rumunia. Cesarza Wilhelma nie ma, ale jest król Milan, król Karol, król Jerzy i książę Aleksander. Są Garaszaniny i Karawełowy, Risticze i Christicze, Marynowicze i Strańscy, a nareszcie zjawiła się i dziewica, panna Nedela Stojanowa. „Dygnitarz dyplomatyczny,“ ów mityczny partner szanownego wydawcy *Graždanina*, powiada, że czuje się jakby na operetce. Na dobitkę zjawia się korsarz grecki w swej szerokiej kurcie. Złudzenie zupełne. Wszystko to straszliwie krzyczy, rzuca się, brzęczy, włóczy się ostentacyjnie, zbierając daninę zapału narodowego, łaskawie udziela audyencye korespondentom, wyprawia i przyjmuje posłów, gońców, kuryerów i popisuje się ze słowami całkiem przypasowanemi do postawy wielkich mocarzów.

Risticz, Christicz i Garaszanin poręczają, że Serbia „nie ucierpi.“ Dajmy na to, że do tej pory nikt ich o to nie pytał, chyba może owi korespondenci. Ale koniec końców „nie ucierpi“ — odpowiadają — „nie straci.“ I basta. Niezwykle miła zabawa. Oficyały i oficyozy wiedeńscy zapewniają, że Serbię trzeba oszczędzać, utrzymać; król Milan koncentruje 40,000 wojska, z Berlina telegrafują, że bądź co bądź trzeba Serbię utrzymać i oszczędzać, król Milan ściąga do Niszu 100,000 wojska; w Wiedniu dochodzą do przekonania, że właśnie wszystko będzie zależało od tego, czy Serbię będzie można utrzymać, oszczędzić; król Milan jedzie objąć główne dowództwo przy okrzykach: „Niech żyje stara Serbia! niech żyje Macedonia!“ Nareszcie zjawia się głos wieszczy, że mocarstwa powstrzymują Serbię w ostatniej chwili. Jak gdyby ostatnia chwila była już stanowczo w ręku tego, który o niej mówi.

Zdaje się jednak, że nikt nie obliczył do tej pory dokładnie, jak wielki też jest skład trupy operetkowej na półwyspie Bałkańskim; jaki jest bilans uzbrojonej Serbii, Bułgaryi, Rumelii, Grecyi, ilu ochotników może wystąpić w Macedonii, Albanii, Czarnogórzu, i co jest wstanie przysposobić za kulisami Dobrudża przy dobrej woli maleńkiego króla Karola? Bo zapewne, że koniec końców wszystko to razem wzięte nie ostoi się wobec trzech milionów bagnetów, jakimi rozporządzają Rosya, Niemcy i Austrya. Zapewne, że półwysep Bałkański mógłby być w danym razie w mgnieniu oka z operetkowej armii ogołocony; ale w tem tylko bieda, że nie wiadomo, kto ostatecznie to uskuteczni i z tego skorzysta...

Niema powodu dziwić się posągowemu spokojowi, z jakim Austrya udziela Serbii lekcye umiarkowania i akuratności. Bardzo jej dobrze za plecami Serbii, tem lepiej, im te plecy szersze się staną. Austrya stoi już krzepko za temi kulisami. Chwila jeszcze, jeden ruch reżysera, a kulisy się rozstąpią, warkną maszyny i rozsuną się deski sceny, aby połknąć kogo potrzeba. Cała zachodnia połowa półwyspu jest już poniekąd w ręku Austryi, a zręczni jej mężowie stanu może i nie bez powodu mniemają, że czarno-żółte barwy ku wschodniej stronie, w Bułgaryi budzą już sympatye. Z drugiej zaś strony bardzo w porę zjawia się projekt neutralizacyi Rumunii, i jeżeli projekt ten się spełni, to już do półwyspu Bałkańskiego nam, rosyanom, wypadnie dobierać się chyba przy pomocy sławetnych popówek.

Niespokojni i z niczego niezadowoleni madżiarowie, czynią zarzuty Kalnoky'emu, że dał się zaskoczyć wypadkom i grożą mu wydobyciem z kąta starego swego bohatera, hr. Andrassego. A tymczasem, jeżeli kto w ciągu ostatnich lat dziesięciu ujawnił najruchliwszą i najpłodniejszą działalność, to z pewnością dyplomacya austryacka. Ona jedna dotąd jest wygraną, i, jeżeli na półwyspie Bałkańskim należy oczekiwać pojawienia się jakiego aktora wielkiego kalibru, to aktorem tym będzie stanowczo nie kto inny, jeno austryak."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Przedstawiona na scenie Teatru Rozmaitości komedya Madejskiego *W domu i za domem*, nosi na sobie piętno talentu, ale ma tyle usterek, że wymagałaby radykalnej przeróbki. Myśl jej satyryczna zdrowa i trafna. Chodzi tu autorowi o schłostanie lekkomyślności i włóczęgostwa mężów, dla których dom jest tylko restauracyą lub zajazdem, a którzy zbijają czas na kartach w kasynie, opuszczają żony, pozostawione samotności i pokusom. W wielu scenach komedyi autor głębiej nawet szydzi z egoizmu męskiego, z płytkiego pojmowania życia, które przeciętni fachowcy tak często dzielą pomiędzy pracę, a bezmyślne uciechy—zamiast stworzyć sobie w domu punkt oparcia w uczciwej pracy życia. Wielka szkoda, że autor tej kwestyi nie traktował prosto, szeroko, ale puścił się na sztuczną robotę. Sztuka jego w pierwszym akcie zakrawa na komedyę typów zbiorowych, potem kuleje, stając się mięszaniną farsy i melodramatu. Wśród naciągniętych zawikłań, i zewnętrznego ruchu figur zaciera się myśl prawdziwa, a wrażenie rzeczy zręcznych i dobrze zrobionych psują całe ustępy fałszywe lub podrobione. P. Madejski ma talent widoczny, ma nawet pomysłowość, ale brak mu logiki w kompozycyi ogólnej i dlatego sztuka dobrze poczęta wyszła w wykonaniu kulawo, chociaż zagrana była bardzo dobrze. Nie było ról świetnych, albo bardziej wybitnych, ale ruch stworzony mnóstwem figur oddany był żywo i harmonijnie. Odznaczył się pomiędzy innymi p. Prażmowski grą żwawą, pełną werwą, i p. Borkowska, która w rolach charakterystycznych staje się coraz użyteczniejszą.

Komisya do spraw żydowskich. W Petersburgu, pod przewodnictwem hr. Pahlena obraduje, czy też ukończyła już swoje czynności komisya, mająca zbadać kwestyę żydowską w całem państwie i ująć ją w odpowiednie nowe przepisy.

O cholerze artykuły dr. Chałubińskiego, drukowane w *Gazecie lek.*, wyszły w osobnej odbitce. Mieści się tu: leczenie w cholerze, wykład o cholerze w Tow. lek. i określenie i zakres działania lekarzy rewirów.

Sprawozdanie z czynności wydziału Czytelni Akademickiej w Krakowie za rok 1883/4 zawiera szczegółową historyę burz i przemian tej sympatycznej instytucyi.

Elementarz Promyka wyszedł w jedenastem wydaniu, zawierającem od 205-go do 225-go tysiąca egzemplarzy. Jest to chyba najbardziej rozpowszechniona książka polska.

Reforma więzienna. Postanowiono urządzić bezzwłocznie przy znaczniejszych więzieniach domy robocze o dwóch oddziałach dla cięższych i mniej ciężkich przestępców, na wzór istniejących w Niemczech. Cztery dziesiąte czystego dochodu od roboty obracane będą na korzyść więźniów i wydawane im po skończeniu kary.

Rewizye sanitarne w Warszawie. W ciągu ubiegłego tygodnia policya dokonała rewizyi sanitarno-policyjnej w 255 domach. Rezultatem rewizyi było pociągnięcie 34 właścicieli posesyi, za nieporządki w tych ostatnich napotykane, do odpowiedzialności sądowej.

Upaństwowienie kolei. Przejście kolei żelaznych wielko-rosyjskiego Towarzystwa w zarząd korony zostało postanowione.

Proces Ritterów zakończył się. Wszyscy troje oskarżeni, jednogłośnym werdyktem sędziów przysięgłych—skazani zostali na śmierć przez powieszenie.

Towarzystwo literackie polskie w Londynie zagrożone jest deficytem. Prezes obecny Honghton robi wysiłki, aby je ocalić od ruiny. Ogłosił subskrypcyę, tudzież pozyskał zasiłek rządowy, wszystko to jednak nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb doraźnych.

Korespondent Płocki wskutek braku poparcia ze strony czytelników wrócił do dawnego mniejszego formatu.

J. I. Kraszewski wykończył trzechtomową powieść z czasów Jana Kazimierza *Boży gniew*.

Bibliografia polska. Byron lord. *Manfred*, poemat dram., przełożył Floryan Kołomyja.

— Bentkowski W. *Dwa ustępy z bitew*, pod Szegedynem i pod Temeszwarem. Poznań.

— Birkenmajer L. dr. *O kształcie i grawitacyi sferoidu ziemskiego* (Ak. umiej.). Kraków.

— *Bogiem a prawdą*, powieść z ostatnich czasów. Kraków.

— Bogusławski W. *Cud* cz. *Krakowiacy i Górale* (Bibl. Mrówki t. 217). Lwów.

— Callier E. *Powiat kościański w XVI wieku*, szkic geogr. hist Poznań.

— Chlędowska St. *Szkice literackie* t. I i II. Lwów, Warszawa.

— Chojecki E. *Życie i sen*. Warszawa.

— Ciećiała A. dr. *Pieśni ludu szląskiego* z okolic Cieszyna. Kraków.

— Czajewski W. *Mikołaj Rej z Nagłowic na sejmach*. Warszawa.

— Dziwiński P. dr. *Krótki rys teoryi funkcyi peryodycznej jednej zmiennej*. Lwów.

— Estreicher K. *Bibliografia* XIX w., tom X zesz. 3 i 4. Kraków.

Ostrzeżenie. Gazecie *Wostocznoje Obozrenie* udzielonem zostało trzecie ostrzeżenie, z zawieszeniem wydawnictwa na dwa tygodnie i zastosowaniem przepisów cenzuralnych z r. 1883 za to, że gazeta w dalszym ciągu stara się przedstawiać w nieprzychylnem świetle administracyę syberyjską.

Pojedynek odbył się w folwarku Niedzielska w gub. Lubelskiej, między właścicielami dóbr Leonem Wybranowskim a M. Turczyńskim. Wybranowski został raniony.

Przymusowe szczepienie ospy wywołało w Montredl w Kanadzie formalną rewolucyę. Tłumy wzburzone potłukły szyby w ratuszu, usiłowały podpalić mieszkania urzędników sanitarnych i strzelały z rewolwerów wołając: precz z anglikami! śmierć doktorom!

Zaburzenia. W osadzie Poniemun-Pożajce w pow. maryampolskim, piętnastu robotników z cegielni 4-go fortu, którzy otrzymali już zapłaty i powinni byli wracać do miejsca stałego zamieszkania, powybijało szyby w domach żydów Amdurskiego i Kuszla.

Najszybszy okręt. Towarzystwo żeglugi pomiędzy Liverpoolem i New-Yorkiem posiada parowiec pod nazwą „Etruria," który odbył niedawno tę podróż w przeciągu 6 dni, 5 godzin i 31 minut. Ponieważ od Liverpoola do New-Yorku jest 2,271 mil morskich, przeto „Etruria" robiła na dobę 450 mil. Dotychczas żaden okręt nie przebył tej przestrzeni w tak krótkim czasie.

Zmarli. Marya Bartusówna, poetka we Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. S. Jest to mętna żółć filozoficznej wątroby. Zresztą napiszemy o nich szczegółowiej. To dzieło Spencera nietłomaczone, tylko *Wstęp do socyologii*.

L. B. Właśnie był przeciwny. Dawniej posyłaliśmy.

Maryi W. Szowinizm (narodowy) przesada w uczuciach (patryotycznych); altruizm — miłość bliźniego (w przeciwstawieniu do egoizmu); ewolucyoniści—wyznawcy teoryi rozwoju, oportunizm—stosowanie zasad praktycznych do potrzeby. *Encyklopedya* Orgelbranda lub *Słownik wyrazów obcych* Łukaszewskiego, chociaż oba te podręczniki nie zawsze Panią zadowolnią.

Czytelnikowi Prawdy. Zdawało nam się, że sam przedmiot tej książki usprawiedliwi przed każdym czytelnikiem niedomówienia w jej rozbiorze. Dziwią Pana „pochlebne i wcale niezasłużone epitety" przyznane Si? Alež można być „człowiekiem wielkiego rozumu politycznego i żelaznej energii," działającym „według obmyślanego planu i konsekwentnie," a jednak szkodnikiem i krzywdzicielem. Na owe epitety, zdaniem naszem, S. zasłużył, nie splatają się one wszakże w wieniec chwały--z naszego stanowiska. Albożto mało jest energicznych i konsekwentnych polityków godnych pręgierza moralnego?

P. K. Gościm. w Posadzie. Spółka Nakładowa książek do nabożeństwa nie wydaje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Сентября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski